Nr. 277 Lwów — Sobota dnia 3 Grudnia. Rok 1892.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

Cena prenumeraty we Lwowie:
Bez dostawy miesięcznie 75 ct.
Z dostawą do domu „ 1 złr.

Prenumeratę we Lwowie przyjmują:
Biuro Dzienników ul. Karola Ludwika l. 9.
Trafika przy ul. Karola Ludwika l. 5.
„ J. Ważnego przy ul. Czarnieckiego l. 3.
„ przy ul. Słowackiego (obok łaz. Diany)
„ Niemojowskiego ul. Jagiellońska l. 6.
Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników ulica Karola Ludwika l. 9.

Numer kosztuje 4 ct.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

Cena prenumeraty na Prowincyi:
Miesięczna złr. 1·50 | Półroczna złr. 6.
Kwartalna „ 3 — | Roczna „ 12.

Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Prenumeratę należy przesyłać przekazami. Do przesyłanej w kopertach pieniężnych należy dodawać 5 ct.

Cena anonsów:
Wiersz petitowy w inseratach 6 ct.
„ „ w nadesłanem 20 ct.

Prenumerata datuje od 1-go lub od 15-go.

Rękopisów Redakcya nie zwraca.

Dziś: św. Franc. Ksaw. | Wowed. Boh.
Jutro: B. 2 Ad. Barbary | N. 26 po Sosz.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 7 m. 38
Zachód „ „ 4 „ —

Długość dnia g. 8 m. 22
Ubyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 2 grudnia.

Jeszcze nie powstał gabinet Brissona, a paryskie dzienniki już przepowiadają mu trwanie „wyjątkowo“ krótkie. Więc będzie ten rząd chyba jednodniowym, bo przecież każdy był tam bardzo krótki. Lecz jeśli Brisson nie przedstawia trwałej siły, to pocóż go powoływać i dlaczego on sam bierze władzę, której utrzymać nie zdoła? Oto, ma być on niezbędnym dla załatwienia panamskiego skandalu w ten sposób, iż wszyscy w kraju będą przekonani, że sprawiedliwości stało się zadość. Nikt inny nie daje takiej rękojmi podrażnionemu uczuciu narodu: te słowa czytamy w paryskich dziennikach; te wyszły o Francyi z ust Francuzów. Nie było taktu w tem, co o tej republice powiedział antysemita Gessmann w austryackiej Radzie państwa; takich rzeczy nie mówi się w parlamentach, więc też Gessmann wywołał oburzenie i zasłużył na naganę, lecz Francuzi mówią o swych ludziach prawie to samo. Nie nazywają ich złodziejami, jak to uczynił wiedeński antysemita, ale oświadczają, że jeden tylko Brisson ma opinię człowieka, który odważy się wykryć złodziei. A cóż w takim razie inni francuscy mężowie stanu?.. Śledztwo panamskie natrafiło na zmowę finansowego świata i na opór zawodowych jurystów. Świat finansowy nie chce, aby patrzano za jego kulisy, zapewne wie, że gdyby odsłonił bodaj cząstkę swych tajemnic, toby może powstała niejedna sprawa podobna do panamskiej. Więc buchalterowie różnych banków, powoływani na rzeczoznawców, odmawiają odpowiedzi na pytania o sposobie prowadzenia ksiąg Towarzystwa panamskiego, — mówią, że nie mogą zdradzać tajemnic swego zawodu, jak gdyby to był jakiś kunszt pełen misteryi. A wolno im to czynić bezkarnie, bo przecież parlamentarna ankieta nie jest instytucyą sądową, która za odmowę zeznań może karać więzieniem. Z drugiej strony sędziowie państwowi podnieśli protest przeciw mięszaniu się parlamentu do ich sprawy. Gdyby jednocześnie prokuratorya nie otrzymała polecenia zbadać rzeczy, to mógłby sobie parlament bawić się w instytucyę śledczą, ale przeszkadzać prokuratoryi, rozgłaszać zeznania już uczynione i tak informować interesowane osoby o poglądach świadków — wszakże to jest nic innego, jak pracować na korzyść domniemanych winowajców. I oto ci winowajcy, członkowie panamskiej dyrekcyi, syn Lessepsa, inżynier Eiffel i inni nie przybyli na wezwanie parlamentarnej ankiety, oświadczywszy, że nie uznają jej atrybucyi sądowej. Mają za sobą prawo, bo żadna ustawa nie daje parlamentowi praw komisyi śledczej. Ale tym panom idzie tylko o to, aby nie związawszy się żadnem zeznaniem, wiedzieli pierwej co mówią różni świadkowie i rzeczoznawcy. Stosownie do tego oni już potem potrafią zachowywać się przed prawdziwym sądem. Więc wygląda tak, że owa ankieta parlamentarna ustanowiona została tylko dla poinformowania przypuszczalnych winowajców; że zatem jest ona dalszym ciągiem wzajemnej obrony łapowników. Rzućmy okiem na jej działalność: świadkowie pod słowem honoru zapewnili, że faktów oskarżających nie znają, a rzeczoznawcy odmówili ekspertyzy. Zatem rezultat jest żaden. Załatwiwszy w ten sposób część pierwszą śledztwa, ankieta zażądała od ministra sprawiedliwości różnych aktów, znajdujących się pod pieczęcią prokuratora. Minister w swej uprzedzającej uprzejmości polecił prokuratorowi wydać te akta. Publiczne rozpatrzenie ich przez ankietę i opublikowanie w dziennikach niezmiernie ułatwiłoby obronę dyrekcyi panamskiej i całego tłumu łapowników. Ze sprawiedliwości, z sądów robiono tu widoczną i oburzającą farsę; więc prokurator Quesnay de Beaurepaire, człowiek wielce zasłużony w głośnych i brudnych procesach, podał się do dymisyi. Będzie ona zapewne przyjęta, bo ankieta parlamentarna przecież musi ratować tylu znakomitych ludzi, towarzyszy broni, przyjaciół politycznych. Następcą Beaurepaire'a będzie ten, kto przyrzeknie być mniej drażliwym i z góry się zgodzi wydać ankiecie akta.

Tak się przygotowuje proces panamski dla sądu, żeby zaś jeszcze piękniej obałamucić opinię, otrzymuje za Katona uważany Brisson mandat złożenia gabinetu. Pod uczciwą pokrywką łatwej manipulować.

Ale ten Brisson jest prawie radykalistą i dzielnością się nie odznacza. Raz już był szefem gabinetu od 5 kwietnia 1885 do 7 stycznia 1886 roku i wówczas rządził tak nieumiejętnie, że wyrosła bulanżeryada, a powszechne wybory przeprowadzone przezeń dały wbrew jego staraniom kilkadziesiąt nowych mandatów monarchistom, którzy po takim sukcesie zamierzyli nawet dążyć zaraz do obalenia republiki, na nieszczęście jednak związali się z Boulangerem i to im wszystko zepsuło, a uratowało republikę. Nie można tedy dopuścić, żeby Brisson drugi raz robił wybory, a właśnie one wypadają za ośm miesięcy, agitacya zaś i przygotowana zaczną się na wiosnę. Więc pierwej Brisson musi ustąpić komuś takiemu, który nie będąc Katonem, potrafi republikańskiemu stronnictwu zapewnić zwycięstwo. A właśnie on już odrazu naraził się temu stronnictwu, bo nietylko zostawia w gabinecie radykalnego ministra oświaty Bourgeois, ale powierza mu ogromnie ważną ze względu na właśnie nadchodzące wybory tekę spraw wewnętrznych. Ten minister niezbyt dawno, podróżując po kraju, wyszydzał nawróconych do republiki monarchistów i oznajmiał im, że nazawsze pozostaną w podejrzeniu, a jako tacy niech na wpływ nie liczą, jak zaś ścigał biskupów za ich podróże do Rzymu, jak im pensye odbierał, jak zamykał szkoły prywatne pod pozorem, że są prowadzone przez przebranych jezuitów, jak kasował kaplice przy fabrykach, to wszystko wiadome. Zasłużył się tem radykalistom, stał się znienawidzonym przez prawicę, a niebezpiecznym dla środka izby, dla oportunistów i umiarkowanych, czyli dla tego obozu, który się właściwie nazywa republikańskim. Zarówno ten obóz, jak i prawica nie zechce go widzieć kierownikiem wyborów. Więc jak Loubet upadł pod ciosami prawicy i radykalistów, co wyszło na korzyść tych ostatnich, tak teraz prawica z republikanami pocznie kruszyć gabinet Brissona-Bourgeois i za parę miesięcy zaśpiewa mu marsz pogrzebowy.

Najgorszej na tem wszystkiem, jak zawsze, wyjdzie Francya i jej republikański ustrój. Prawica raz po raz, w sojuszu ze środkiem izby, albo z radykałami, obala gabinety, bo jej celem podtrzymywać rozstrój i do ostateczności zniechęcić naród do republiki. Ktokolwiek chwilowo zwycięża w tych przewrotach gabinetowych, zawsze prawica cel swój osiąga i ona ostatecznie zwycięży.

Petersburski *Świet*, organ panslawistyczny, wpadł na piramidalny koncept, który, być może, jest zapowiedzią dla nas nowych katuszy. Oto, dowodzi on, że trzeba o krok dalej posunąć sprawę pogodzenia Polaków ze światem prawosławno-słowiańskim. Polacy — jego zdaniem — są ciemni; katolicyzm tak się wbił im w mózgi, że nie widzą wielkiego tchnienia, które ogarnia całą słowiańszczyznę, dążącą do odrodzenia na łonie wschodniej cerkwi. Stąd te bolesne operacye, które Rosya musi dla ich dobra wykonywać na nich, spotykając na każdym kroku zamiast wdzięczności odrazę i podstęp. Wielka misya rosyjska nie przekracza kordonu; mdleje na granicy galicyjskiej i poznańskiej, a czy to być powinno, czy być może, żeby taka wzniosła idea nie miała siły moralnej za politycznemi granicami świętej Rosyi? Ma ją! Widać to na Czechach, widać na amerykańskich Rusinach, przyjmujących prawosławie, na „Rosyanach“ austryackich, którzy rzucają domy i majątki, a biegną nadzy i ubodzy do słońca prawdy, stojącego w zenicie nad Rosyą. Czemuż jedni Polacy są nieczuli? Oto „rzymska wiara“ ich opętała. Więc dać im inną! Unia przecież ma sens, ale nie taka, jaką Rzym stworzył, lecz odwrotna. Nie prawosławie odziane szatą katolicyzmu, lecz katolicyzm jako filia prawosławia — oto takiej wiary potrzeba Polakom! Grunt już jest przygotowany; uprawa jego dobra. Chłop i mieszczanin polski z radością zmieni swój kościół łaciński na cerkiew słowiańsko-katolicką, na wiarę narodową, czysto polską i zarazem jedną w prawosławiu, nieznającą Papieża i jezuitów, modlącą się do Boga pięknym prastarym językiem SS. Cyryla i Metodego. Tylko magnaterya polska nie przyjmuje tej nowej unii, ale to i lepiej, bo słowiańszczyzna, to „naród“ — czyli, po naszemu, lud, siła bierna; choć ogromna, ale bezwładna, bo małomyśląca. Z ludem, nie narodem, Rosya da sobie radę i dlatego *Świet* chętnie wyklucza z nowej unii magnateryę, a właściwie wszystko, co czuje i myśli całem sercem i całą głową, więc wszystką inteligentną warstwę. Ale przecież i lud podlaski parę lat temu, a teraz lud grodzieński pokazuje, że umie uczuć i myśleć. Czy nowej krwi chcą panslawiści? Czy koniecznie szukają, jakby nas doprowadzić do ostatniej rozpaczy? Oby *Świet* mówił tylko od siebie i nigdzie nie znalazł posłuchu, bo stanie się coś strasznego nad wszelkie pojęcie!

KORESPONDENCYE.

Wiedeń 30 listopada.

(f) Dotychczas nie ma jeszcze żadnej pewnej wskazówki, jak załatwioną zostanie kryzys parlamentarna, wywołana przez lewicę. Minister Kuenburg był na wczorajszem posiedzeniu Rady państwa i siedział na swem zwykłem miejscu przy stole ministeryalnym. Z łona lewicy nikt głosu nie zabierał, dopiero przy debacie nad funduszem dyspozycyjnym przemówi p. Plener i wtedy dopiero zobaczymy, jak ułożą się stosunki. Młodoczesi, gdyby kierowali się rozumem i patryotyzmem, mieliby teraz najlepszą sposobność wynagrodzenia krzywd, jakie ojczyźnie swej wyrządzili swą szaloną polityką, jednakże brną oni w swem zaślepieniu dalej i wstydzą się zawracać z drogi szarlataneryi politycznej i stanąć na gruncie skrzętnej produktywnej pracy. Ludziom, którzy chcieliby ich przywołać do opamiętania, odpowiadają młodoczesi, że porzucenie przez nich opozycyi i skupienie się ze względów oportunistycznych z żywiołami dawnej prawicy, wystawiłoby ich na pośmiewisko w kraju, byłoby dowodem, że walka ich ze staroczechami nie miała żadnej racyi. „Wygodniej im pozostać w opozycyi choćby dla tego, że nic pracować tam nie trzeba, a przytem mają to przekonanie, że lewica i tak nic nie wskóra u rządu. Oświadczają więc młodoczesi, że głosować będą przeciw funduszowi dyspozycyjnemu, a to dla tego, iż wiedzą, że chociaż rada państwa odrzuci ten fundusz, to hr. Taaffe nie upadnie, lecz dalej rządzić będzie. — Oczy wszystkich zwrócone są na Koło polskie, gdyż w jego ręku leży sytuacya. Stanowisko, jakie zajął prezes Koła p. Jaworski na niedzielnej konferencyi przywódzców stronnictw, napawa otuchą konserwatywny klub Hohenwartha, przeciwko któremu w pierwszej linii manewr lewicy był skierowany. Składając swe oświadczenie w sprawie odroczenia debaty budżetowej, napiętnował p. Jaworski w delikatny ale niedwuznaczny sposób frymarkę, jaką prowadzi lewica, ilekroć upatrzy sposobność, że można coś wytargować od rządu. Niedawno — rzekł p. Jaworski — bo zaledwie kilkanaście dni temu nalegała sama lewica na to, aby jak najrychlej budżet ułatwić, a teraz żąda odroczenia debaty nad nim. Polacy jednak nie mogą głosować za odroczeniem, bo uważają całe obecnie przesilenie i dymisyę hr. Kuenburga za nieuzasadnione i nagany godne. Na uwagę zasługuje także oświadczenie hr. Hohenwartha w sprawie odroczenia debaty budżetowej. Wszystko to, co się przygotowuje, i całe żądanie odroczenia debaty skierowane jest przeciw klubowi konserwatywnemu, — trudno zatem wymagać, aby stronnictwo to dobrowolnie kładło głowę na rusztowanie i oddawało miecz w ręce przeciwników. — Organ klubu konserwatywnego *Vaterland* w numerze wczorajszym oświadcza kategorycznie, że gdyby rząd uczynił zadość żądaniom lewicy, to klub Hohenwartha przeszedłby bezzwłocznie do opozycyi, jednakże pokłada on w Polakach nadzieję, iż do tego nie przyjdzie.

W sprawie sprostowania katastru.

Dobromil 30 listopada.

Pospieszam zanotować objaw pracy i przezornych zabiegów w zakresie ruchliwego samorządu powiatu tutejszego. Władze sądowe zarządziły jeszcze w sierpniu b. r. zestawienie wykazów cen ziemiopłodów za czas od r. 1870 —1891 w celu podjęcia sprostowania katastru podatku gruntowego na dalszych lat 15. Sprawa to niezmiernie ważna, bo ma na celu ustanowienie wysokości podatku gruntowego na peryod dalszy. Te tedy wstępne roboty przygotowawcze, w których wedle ustawy z roku 1869 nie biorą udziału rady powiatowe, zwróciły uwagę tutejszego wydziału powiatowego tem bardziej, że wedle zarządzenia władz rządowych, cen tych za lat 21 miały dostarczyć zwierzchności gminne z zupełnem pominięciem obszarów dworskich. Rozumie się samo przez się, że gminy nie notowały cen produktów i robocizny przez lat 21, choćby tedy nawet chciały, nie mogłyby one podać tych cen autentycznych. Że zaś te daty są pierwszą ważną podstawą do korektury katastru podatku gruntowego, przeto tutejszy marszałek powiatowy p. Paweł Tyszkowski zwołał ankietę złożoną z właścicieli ziemskich i z wójtów powiatu i na podstawie źródłowych badań tej ankiety, wójtowie z pisarzami gminnymi dokonali w wydziale powiatowym sporządzenia wykazów rzeczonych, które następnie przedłożono władzy rządowej.

Jak ważnem jest to zarządzenie marszałka tutejszego niech będzie dowodem fakt, że w powiatach sąsiednich, gdzie rada powiatowa nie zaopiekowała się tą sprawą, gminy podały w wykazach cyfry maksymalne z prawdą niezgodne, podając n. p. cenę sąga twardego na pniu po 4—6 zł. (w lesie) lub cenę najmu zaprzęgu dwukonnego po zł. 1·50. Bo zresztą dziwić się nie można, że pisarz gminny mając sobie nadesłany do zrobienia jakiś wykaz za lat 21, a nie mając pod ręką dat za ten czas, siadł na pół godziny, spisał cyfry jakie mu na myśl przyszły, nie zastanawiając się nad znaczeniem i donioslością tak sprawy całej jak i szczegółów i ten utwór doryweczy przedłożył starostwu.

Według rozporządzenia władzy rządowej takie wykazy gminne ma trutynować starostwo, lecz inspektor podatkowy, z reguły zupełnie nieświadomy stosunków rolniczych, nie jest w stanie ocenić klasyczności dat podanych i przedkłada je machinalnie wyższej władzy. W tem tedy leży zasługa tutejszego p. marszałka, że ze stanowiska orędownictwa interesów ludności rolniczej powiatu, dość wcześnie wziął sprawę w swoje ręce i pokierował nią trafnie i skutecznie. Nie ograniczył się on wprawdzie na tem, bo wniósł do ministerstwa a względnie i do Koła polskiego (w odpisie) prośbę o dopuszczenie delegatów Wydziału powiatowego do spółudziału przy trutynowaniu wykazów gmin przez starostwo, udał się także do Wydziału krajowego o zainscenowanie jednolitej działalności Wydziałów powiatowych, a do sąsiednich Wydziałów udał się również z zawiadomieniem o poczynionych zarządzeniach z prośbą o poparcie. Ale nie czekając wyników tych kroków, osiągnął cel bezpośrednio, pomagając wprost gminom w wykonaniu operatu, jak to wyżej przytoczyłem.

Sądzę, że wiadomość ta bardzo będzie interesować rolników kraju naszego — którzy zwykli bardzo głośno narzekać na wysoki wymiar podatkowy a nie pamiętają dość wcześnie za pomocą swych rad powiatowych poczynić kroków potrzebnych. Niechże głos mój będzie przestrogą do przezorności przy następnych stadyach tej samej akcyi. *Idem.*

Rada Państwa.

(*Telegram „Przeglądu“.*)

Wiedeń 2 grudnia. Na wczorajszem posiedzeniu Izby posłów, w dalszym ciągu debaty nad funduszem dyspozycyjnym, przemawiał p. Bianchini i przytaczał cały szereg administracyjnych i ekonomicznych postulatów Dalmacyi. Przedewszystkiem żalił się p. Bianchini na to, że Dalmacya nie ma połączenia kolejowego z resztą Europy, następnie na to, że zawarciem traktatu handlowego z Włochami skrzywdzono producentów wina w Dalmacyi, że suma wydatków budżetowych, przeznaczonych dla Dalmacyi, jest za małą i że rząd upośledza na każdym kroku żywioł kroacki w Dalmacyi. Z tych powodów sprzeciwia się mówca przyznaniu rządowi funduszu dyspozycyjnego, gdyż uchwalenie tej pozycyi uważa za wotum ufności dla rządu.

P. Romańczuk oświadcza, że silna organizacya stronnictw jest niemożliwą, a sytuacya obecna zezwala tylko na prowizoryum. Pierwszym warunkiem bowiem silnej organizacyi stronnictw jest uregulowanie kwestyi narodowościowych. Następnie omawiał p. Romańczuk stosunki Rusinów w Galicyi i rzekł, że Rusini nie chcą dać się ani zrussyfikować ani spolonizować i domagają się dla siebie od rządu bodaj minimum egzystencyi narodowej. Rusini będą wprawdzie głosować za funduszem dyspozycyjnym, jednakże nie należy brać tego za wotum zaufania dla rządu. (Oklaski posłów ruskich).

P. Plener na wstępie swej mowy scharakteryzował stosunek lewicy do rządu i rzekł:

„W swoim czasie, gdy dawny stan rzeczy nie dał się już utrzymać, rozwiązał rząd Radę państwa i odwołał się do stronnictw umiarkowanych, nawołując je do wspólnej pracy. Stąd powstał stosunek między rządem a liberalną lewicą. Był on od samego początku sztuczny i wymagał wielkiej abnegacyi z naszej strony a dobrej woli ze strony rządu. Myśmy dopełnili naszego warunku, jednakże rząd swego niedopełnił. Kierowani patryotyzmem utrzymywaliśmy ów sztuczny stosunek w nadziei, że może przecież przemieni się on w stosunek definitywny. Wszelako zachowanie się namiestnika Czech w kwestyi ugody czesko-niemieckiej rzuciło pierwszy posiew nieufności, zwiększyło ją zachowanie się ministra sprawiedliwości, a cały szereg drobnych zajść okazał dowodnie, że rząd nie bardzo na seryo bierze stosunku swego do lewicy. Przyszliśmy więc do przekonania, że rząd nie ma dobrej woli, niezbędnej przecie, jeżeli ma być mowa o wspólnej pracy. Urzędowa prasa napadała na lewicę bez ustanku a my znosiliśmy to wszystko w nadziei, że przecież nastanie poprawa stosunków. Wtem nagle spada mowa ks. Schwarzenberga i odpowiedź hr. Taaffego na nią. Dziwnym zbiegiem okoliczności zdarzyło się, że w tym samym dniu, w którym u nas przemawiali ks. Schwarzenberg i hr. Taaffe, w Berlinie przemawiał kanclerz Caprivi a w Budapeszcie p. Weckerle. Jakże to boleśnie dotyka lewicę, gdy porówna ze sobą mowy tych trzech ministrów, z jakąż godnością i szacunkiem wyrażali się Caprivi i Weckerle o swoich przeciwnikach politycznych, a jak nas traktował hr. Taaffe? Ks. Schwarzenberg uchodzi w obec rządu za reprezentanta szlachty czeskiej, pomimo, że szlachta ta w bardzo wielu kwestyach z nim się nie zgadza. Rząd forytuje na każdym kroku grupę ks. Schwarzenberga a jednak przywódzca jej wystąpił w obronie czeskiego prawa państwowego i przeciw dualizmowi“.

P. Plener zdumiony jest tem, że hr. Taaffe nic nie odpowiedział ani na prawnopaństwowe aspiracye ks. Schwarzenberga ani na jego wycieczki przeciw dualizmowi. Przygnębiające wrażenie na stronnictwo mowcy wywarło także to, że hr. Taaffe złożył znane swe oświadczenie w sprawie obsadzenia teki ministra rodaka dla Czech nie zawiadomiwszy o tem poprzednio męża zaufania lewicy, ministra hr. Kuenburga. Być może, że uwaga hr. Taaffego o niemożliwości partyjnego ministeryum w Austryi ma swoje uzasadnienie w przeszłości, mimo to jednak nie było żadnego powodu witać stronnictwa mowcy wyrzutami z przeszłości, gdyż lewica nigdy nie objawiła życzenia stworzenia ministeryum partyjnego i mówiła zawsze tylko o koalicyjnem ministerstwie i kooperacyi kilku stronnictw, jak czynników równorzędnych. Mówca jest za negatywnym

---

Ze starca dziecięciem.

W sierpniu 1870, kiedym bawił w pobliżu Legutiano jako urzędnik przy obfitych kopalniach w San-Blas, zaszedł mi raz drogę nieliczny orszak pogrzebowy. Maleńkie ciało dziecięcia ułożono według miejscowego zwyczaju na poduszce, okolono zielenią i kwiatami i włożono — jak to zazwyczaj tam czynią przy pogrzebach dzieci — na głowę starej, pomaleńku, krok za krokiem wlokącej się babuli.

Z prostej ciekawości zapytałem o rodziców dziecka, bo zastanawiało mnie to, że nikt z biorących udział w tym pogrzebie nie płakał.

— Ej! — odpowiedział mi zagadnięty wieśniak, obyczajem starców potrząsając głową. — Bóg tam raczy wiedzieć, czyjeto było dziecię. Przed trzema niespełna laty znaleźliśmy je pod progiem naszej chałupy. Malec owinięty był w resztki łachmanów starych sukien z dorosłego mężczyzny; obok siebie miał niewielki tobołek z papierami, a w zanadrzu fajkę. Było to dziecię nadzwyczajne: z oczu jego sądząc, powiedziałbyś pan, że to człowiek dorosły, taka biła z nich mądrość i spryt.

— Malec umiał już mówić, ale szeplenił po dziecinnemu i plótł zawsze od rzeczy, tak iż nic z tych jego bredni zrozumieć nie mogliśmy. Jednak chłopiec ten zamiast równo z innemi dziećmi róść i rozwijać się, malał i nikł niemal w oczach. Wkrótce utracił mowę zupełnie i skurczył się jakoś dziwnie. Kiedyśmy go znaleźli, mógł jadać wszystko, ale wnet poczęły mu wypadać zęby jeden po drugim i musieliśmy go jak niemowlę karmić samem tylko mlekiem. Wreszcie zapomniał chodzić, zmarniał zupełnie, ot jak tu pan widzisz.

Rzuciłem okiem na nikłą twarzyczkę, dziwnie odbijającą od okalających ją kwiatów. W rysach nie dostrzegłem nic dziecięcego. Wyżółkła, pomarszczona i zwiędła jak oblicze starca, leżała ta twarz przedemną z wyrazem zakrzepłej niejako dziwnej bystrości, powiedziałbym: pewnej gorzkiej rezygnacyi, która nawet w tem śmiertelnem zesztywnieniu boleśnie przemawiała do duszy.

Jeszcze żywiej od bruzd na czole zajęły moję uwagę zmarszczki na jego spierzchłej, jak pergamin żółtej ręce. Na końcach miniaturowo małych palców ujrzałem żółte, nikotyną wygryzione plamy, jak na ręku starego palacza.

— Jak „Amen“ w pacierzu — przemówił do mnie wieśniak uroczyście — nic innego, tylko w całą tę historyę wmięszał się zły duch ze swemi sztuczkami. Kto wie, jak wielkie tajemnice odkryłoby nam to dziecko, gdyby mu Pan Bóg nie odjął był mowy!

Nieraz też patrzało na nas biedactwo tak smutno, siliło się, co tylko miało mocy, żeby mówić do nas zrozumiale. Biedna istota! Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie, a odpuść mu jego winy!

— Gdzie macie te papiery, o których mówiliście, że przy nim leżały, gdyście go znaleźli u progu waszej chaty?

— A leży to tam w izbie za obrazem. Nie umiemy czytać, to i nie zaglądaliśmy do nich wcale. Nosiliśmy je do księdza proboszcza, ale on je zwrócił, mówiąc, że pisane są w baskijskiem narzeczu, którego zgoła nie rozumie.

— A więc przynieście je do mnie, albo lepiej ja zajdę do waszego domu i tam papiery przeczytam. Rozumiem język Basków, to może po nitce dojdziemy do kłębka.

Po kolacyi, jak stanęła umowa, udałem się do chaty starego wieśniaka; uporządkowawszy papiery zapisane różnemi zgłoskami według dat i stronnic, czytałem co następuje:

* * *

Dnia 20 sierpnia 1795 skończyłem 85 rok mego życia. Dzieci me i wnuki, które w tym dniu obchodziły wraz ze mną moje urodziny, powróciły już do swych domów, a ja zasiedziałem się późno w noc przy ostatniej flaszce jabłeczniku ze starym wiernym przyjacielem Don Juanem Manuelem de Ursubil, człowiekiem nadzwyczajnych zdolności i niezmiernie szerokiej wiedzy.

Prócz krzątającej się około nas starej służącej w całym domu nie było żywej duszy. Około pierwszej po północy stara kobieta była już tak śpiąca, że upadała ze znużenia.

Odesłaliśmy ją więc do domu, a my starzy zostaliśmy jeszcze za stołem, choć głowa nasza ciężyła od silnego jabłecznika i odurzającego tytoniu. Ot byliśmy jak dwa stare dęby, które nie łatwo dadzą się obalić.

Po ostatniej flaszce wina nastąpiła znowu ostatnia, potem ostatnia nieodwołalnie, a kiedy wino żywem srebrem poczęło nam chodzić po żyłach, stary mój przyjaciel rozgadał się na dobre, ale cóż? Wpadł on na ulubiony przedmiot swych badań naukowych, a że ja niewiele się na tem wszystkiem rozumiałem, więc rozmowa, mimo, że Don Juanowi płynęły słowa jak woda — szła twardo jak po grudzie, zmieniając się raczej w uczoną prelekcyę, niż w poufną pogawędkę.

— No, stary przyjacielu — zapytał mnie po małej przerwie Don Juan — milczysz, jakbyś się zaciął. O czem tak myślisz mnie na przekorę?

— O czem? A poprostu o tem, że twoja mądrość wobec niezmiennych a nieubłaganych praw natury jest równie bezsilną jak i moje nieuctwo. Cóż z tego, że w mózgu swym masz całą bibliotekę uczonych foliałów, kiedy przy całej swej mądrości nie zdołasz z 85 lat ująć głupich 5, nie możesz odstraszyć zbliżającej się śmierci.

Don Manuel de Ursubil uśmiechnął się na to tajemniczo i wyrzuciwszy z ust kłąb gęstego dymu, odpowiedział po chwili, cedząc słówko za słówkiem:

— Grubo mylisz się bratku w swojem nieuctwie; moja nauka nie daje mi wprawdzie mocy zmniejszenia liczby lat, ale za to robi mię panem tajemnicy, za pomocą której zdołam oddalić śmierć od ludzi. Niech mi tylko nadarzy się odpowiednia sposobność zrobienia pierwszej próby.

— Jak to rozumiesz — zapytałem zaciekawiony.

— Przecież już powiedziałem. Posiadam moc utrzymania cię tak długo przy życiu, jak długo żyć sam zechcesz i to nie za pomocą jakichś czarodziejskich napojów lub tajemniczych zaklęć, ale na podstawie niezawodnej, wolnej od czarów nauki.

— I dopiero teraz mówisz o tem?

— Tak, bo widzisz, choć minęły czasy, kiedy to przekonanych o czarną magię i bratanie się z Belzebubem palono na stosie, jednak i teraz niewczesne rozgłoszenie podobnej tajemnicy nabawić by mnie mogło kłopotu, lub co najmniej narobiłoby wiele niepotrzebnej wrzawy.

— Więc jakiż pożytek z tej tajemnicy?

— Byłby może, gdyby się znalazł człowiek, na którym mógłbym przeprowadzić pierwszą próbę. Ale gdzież znajdziesz człowieka pod słońcem, któryby nie pragnął umrzeć?

— Sądzę, że powinieneś się zapytać: Gdzie jest człowiek, któryby nie chciał żyć?..

— Znowu się mylisz — odpowiedział — człowiek żyje wprawdzie chętnie i czuje serdeczny wstręt do śmierci, ale więcej jak śmierci lęka się zgrzybiałej, stękającej starości, a z największą obawą stroni od wszelkiego bólu. Przedłużenie zaś życia można okupić operacyą, która człowieka rzuca w objęcia śmierci, aby potem na zawsze go jej wydrzeć.— Czułem, że w gło-

programem politycznym, to jest za usunięciem z pod dyskusyi niektórych kwestyi partyjnych, właśnie dla tego jednak żąda mówca usunięcia aspiracyi młodoczechów i konserwatywnej szlachty. Na zmianę obecnego ustawodawstwa szkolnego nie zgodzi się stronnictwo mówcy nigdy.

Uregulowanie kwestyi językowej jest konieczne, aby stworzyć pole dla pożytecznej działalności politycznej i ekonomicznej. O usunięcie obecnego konfliktu nie starał się rząd na seryo, a że nastał zwrot w sytuacyi, temu stronnictwo mówcy nie jest winne. Jeżeli przyjdzie znów do konfliktu, przekona się rząd, że siła odporna lewicy nie zmniejszyła się ani na jotę. Sytuacya stworzona ostatnią mową prezesa ministrów jest tego rodzaju, iż lewica nie może głosować za funduszem dyspozycyjnym. Przez to chce ona zaznaczyć, że nie ma zaufania do prezesa ministrów.

Mowę p. Plenera oklaskiwano na ławach lewicy i na galeryach, skutkiem czego dały się słyszeć z ław poselskich wołania, aby opróżniono galerye.

Prezydent zamknął posiedzenie. Następne odbędzie się dziś.

Rada miasta Lwowa.

Lwów 2 grudnia.

P. prezydent Mochnacki zagaiwszy wczorajsze posiedzenie uwiadomił Radę, iż właściciele realności na przedmieściu zwanem Bajki wnieśli petycyę o utworzenie drogi dojazdowej między ulicą Sadowniczą a Błotną (dotychczas ulice te łączy tylko wązniutka ścieżka), o oświetlenie tych ulic i o urządzenie studni, gdyż po wodę muszą chodzić spory kawał, bo aż na ulicę Leona Sapiehy. Prośbę tę wnoszą po raz trzeci; pierwsze dwie spełzły bez skutku. Teraz atoli mieszkańcy Bajek żywią nadzieję, że reprezentacya miejska życzenia ich uwzględni, tembardziej, że na nowo utworzyć się mającą ulicę odstępują swe grunta bezpłatnie; pragną tylko, aby miasto nową ulicę urządziło i oświetlało. Petycyę tę poparł gorąco p. delegat Michalski i na wniosek jego Rada uchwaliła: polecić magistratowi, aby zbadał całą tę sprawę, i jeżeli mieszkańcy Bajek w istocie odstąpią swe grunta, aby w jak najkrótszym czasie nową ulicę urządził i studnię wybudował. Wniesiona więc po raz trzeci prośba mieszkańców Bajek w istocie nie spełzła bez skutku, ale czy prędko doczekają się nowej ulicy i studni, to inna kwestya. Jeśli magistrat w tej sprawie będzie tak energicznie i szybko działał, jak w wielu innych podobnych, to mogą długie lata czekać, nim się zadość ich prośbie stanie.

Przystąpiwszy do porządku dziennego załatwiła Rada kilka rekursów w sprawach budowniczo-policyjnych, przyjęła w drugiej uchwale wniosek w sprawie zaciągnięcia pożyczki w kasie Oszczędności w kwocie 300.000 zł., uchwaliła urządzić i utworzyć targowicę na Kastelówce, zatwierdziła preliminarz bruków i chodników na r. 1892, postanowiła wynająć w domu przy ulicy św. Zof. l. 13 ubikacye potrzebne na pomieszczenie dwóch klas równorzędnych szkoły im. św. Zofii i poleciła urzędowi budowniczemu przedłożyć plan dobudowania drugiego piętra na gmachu tej szkoły.

Do komisyi reklamacyjnej dla wyborów Rady miejskiej wybrano pp. Czapczyńskiego, Dulębę, Getritza i Goldmana. Wybory odbędą się dnia 26 stycznia 1893, a listy wyborców będą wyłożone do przejrzenia w magistracie od dnia 11 grudnia b. r. w biurze radzcy Lukasa.

Na wniosek ks. kan. Mazuraka uchwalono *na cele wystawy krajowej we Lwowie w r. 1894 przeznaczyć kwotę 30.000 zł.* Suma ta będzie wypłaconą w dwóch równych ratach. Pierwsza w r. 1893, druga w r. 1894. W końcu postanowiono dla regulacyi ulicy Krzyżowej zakupić za sumę 11.520 zł. realność p. Zarzyckiego pod l. 15 przy ulicy Leona Sapiehy, oraz przyległe grunta. Na tem obrady zakończono.

Mały Fejleton.

Jedenaście dni kwarantany na morzu.

Dnia 18 listopada 1892 na pokładzie austryackiego parowca „Helios“ w pobliżu Korfu.

Przed tygodniem zatrzymał się nasz okręt w zatoce Jońskiego morza w pobliżu Korfu i wsparty na kotwicy stać tak będzie jeszcze dni cztery. Samotni na falach morza, oddaleni od innych śmiertelników, „zadżumieni“, rozmyślamy nad tem, cośmy też zbroić mogli, że nas na taką skazano karę. Mimowoli przychodzi tu na myśl wiersz Słowackiego: „a od tej nocy tak pełnej boleści — naznaczono nam nowych dni czterdzieści“ — z tą jednak różnicą, że dokoła nas nie „złote piaski pustyni“ — ale modre fale morza i że nie są to dla nas wcale „dni boleści“ gdyż trudno istotnie o życie weselsze nad to, które tu na okręcie prowadzimy.

Towarzystwo nasze nieliczne — bo prócz załogi okrętowej i podróżnych 3ciej klasy jest nas tylko 10 osób. Jednakże — wspólna niedola a raczej wspólne nudy zbliżają nas ku sobie tak, iż tworzymy jakby jedną rodzinę.

Ponieważ lazarety greckie urządzone są w taki sposób, iż łatwiej w nich rozchorować się niż wyzdrowieć, postanowiliśmy wszyscy na okręcie przebyć dni kwarantany, o co nas komendant, człowiek nie młody, rubaszny nieco ale poczciwy marynarz, usilnie prosił, obiecując postarać się o coraz nowe zajęcia i rozrywki.

Natychmiast po przybyciu naszem na miejsce wyznaczone na kwarantannę, ukazał się lekarz grecki i zdala, ze swej łódki, kazawszy nam stanąć na pokładzie, policzył głowy nasze kilka razy rozpoczynając rachunek, aby się nie omylić. Poczem dodano nam dwóch strażników kwarantanny, którzy na krok nas nie odstępują i pozostawiono losowi.

Dnie mijają dość szybko; kapitan dotrzymuje słowa i stara się o zajęcie dla każdego; marynarzy swych zajął odnowieniem i malowaniem okrętu, nam też nudzić się nie pozwala. Zrana już słychać głos jego nawołujący nas do pracy, t. j. do rybołostwa; grozi nam przytem, iż innych ryb przy śniadaniu podawać nie każe, jak te, które sami złowimy.

Więc też uzbrojeni w długie wędki schodzimy do łódek i rozpoczyna się połów drobnych rybek otaczających setkami nasz okręt.

— *Eviva la pesca, eviva l'amor!* — wołają rozochoceni marynarze ciesząc się każdą złowioną „donzellą“ t. j. rybką o cudnych barwach tęczowych. „Donzelle“ to istne klejnoty Jońskiego morza, bo i dla oka powabne i w smaku wyborne.

Na rybołostwie schodzi nam czas do południa; po śniadaniu zaś następuje zazwyczaj przejażdżka łódkami bądź żaglowemi, bądź z pomocą wioseł, które kolejno chwytamy, gdyż kapitan dbając o ruch i apetyt podróżnych wiosłować nam każe. Zwykłym celem naszych przejażdżek jest niewielka wyspa, na której wznosi się lazaret; jedyne to miejsce, kędy nam wolno lądować pod opieką strażników naszych. Wysepka ta odludna, pusta, skalista; jedyną jej wegetacyą są wysokie trawy i barzany, mimo to z dziwną witamy ją zazwyczaj radością, bo też człowiek nie ryba, po długiem bujaniu na wodzie szczęśliwym się czuje, gdy grunt stały ma znów pod stopami. Bawimy się też jak dzieci na naszej wyspie, rozkładając ognie, zbierając muszle, układając gry rozmaite; albo też wpatrując się z przyjemnością w nocny krajobraz, otaczający nas dokoła. Naprzeciw wysepki widne cyprysami zarosłe górzyste wybrzeża, w dali bieleją mury miasta, a nad niemi góruje na wysokiej skale, dumna, niezwyciężona niegdyś twierdza, dzieło Wenecyan z XIV stulecia.

W pośrodku naszej wysepki wznosi się jak wspomniałam lazaret, budynek niski, zaniedbany o salach pustych zupełnie, nawet łóżek nigdzie tu nie ma, chorzy chyba na deskach sypiaćby musieli. Obok sali malutka znajduje się kapliczka, jaskrawemi ozdobiona malowidłami, w niej wolno nam czasem słuchać mszy świętej; musimy się jednak trzymać jak najdalej od księdza i sług kościelnych, będąc jak wiadomo pod grozą cholery.

Zabawna to komedya tem bardziej, że nikt z nas nie miał nigdy styczności z cholerycznymi. Zabawniejszą jeszcze jest ceremonia oddawania nam listów; listy te wpierw już desinfekcyonowane rzucają dozorcy na ziemię nie dozwalając nam dotknąć ich, dopóki sami się nie oddalą. Również żywność dostarczana z Korfu dla naszego okrętu wyładowywana bywa na wyspę, poczem handlarze szybko się oddalają, unikając spotkania z nami.

Z podróżnemi innych statków zatrzymanych w kwarantannie nie wolno nam się widywać, podajemy sobie tylko wzajem hasła, śpiewamy na przemiany ludowe hymny i rzucamy na siebie bengalskiemi ogniami.

Po jednej stronie naszej wysepki widać kilka nagrobków, jeden z nich wznosi się nad świeżo usypaną mogiłą; wyczytałam na nim napis: „Nadjeżda Nowosilców, lat 27 tu spoczęła...“ Smutny spoczynek na tem dalekiem pustkowiu, a jednak cicho tu i błogo; u stóp mogiły fale morza szepcą ustawicznie pacierze ciche, czasami silniej o brzegi uderzą i łzę srebrną rzucają na krzyż drewniany.

Ale towarzystwo nasze zbyt wesoło jest usposobione, aby w tej stronie wyspy zatrzymywać się dłużej; już słychać głos komendanta nucący wesołą piosnkę dalmatyńskim akcentem:*) „*Faccio l'amor é vero, cosa c'e né dé mal*“. Wtórujemy mu ze śmiechem i powracamy na okręt, gdzie przy dźwiękach mandoliny i fortepianu, przy grze w karty i na wspólnej gawędzie wesoło spędzamy wieczory. Czasami komendant opowiada nam przygody swego burzliwego zawodu; pozwalam sobie przytoczyć tu dwa opowiadania, które szczególniej nas zajęły.

Było to w listopadzie w pobliżu Warny; miotany burzą okręt, rzucony o skały, już wodę nabierać zaczął; zamknięto kobiety w salonie, mężczyzn zaś bez różnicy rangi i stanu zwołano do pracy przy pompach. Kto żyw musiał spieszyć na ratunek. Między podróżnymi znajdował się jednak flegmatyczny lord angielski, który na wszystkie nalegania, aby pomagał w czerpaniu wody, odpowiadał najspokojniej: „I will not“. Nie dano mu jeść przez dzień cały, gdyż tylko pracującym rozdawano żywność; nic to jednak nie pomogło, dumny lord nie ruszył się z miejsca; rozgniewany wreszcie komendant przyskoczył do niego z pistoletem wołając: że w łeb palnie każdemu, kto do wspólnej pracy rąk nie przyłoży. Wtedy dopiero lord nasz uśmiechając się, rzekł uprzejmie: „Yes! czemuż zaraz tego mi nie powiedziałeś“ i skłoniwszy się grzecznie pospieszył do pompy.

Inną fatalniejszą przygodę opowiadał nam komendant o swej podróży do Japonii, gdy straszliwy cyklon porwał go w swe szpony: kilkuset Chińczyków znajdowało się na okręcie, z tych kilkunastu zmiótł wicher w jednej chwili z pokładu, innych rozkazał komendant zamknąć do magazynów, gdzie zduszeni, zgłodniali, gdyż o pożywieniu nikt myśleć nie mógł, czekali chwili strasznego zgonu. Runęły maszty, burza zerwała pomost i komin; kapitan przywiązany powrozem do olbrzymiej kłody drzewa, sam sterował, zwracając ustawicznie okręt w stronę wiru. Był to jedyny sposób ocalenia. Wreszcie po 40 godzinnej walce z rozjuszonym żywiołem okręt, a raczej szkielet okrętu, dobił do przystani. Wypuszczono zamkniętych Chińczyków, kilku z nich zginęło z braku powietrza i z przestrachu, pozostali zaś przy życiu ofiarowali komendantowi sztandar honorowy przepysznie złotem haftowany.

Na takich to gawędach upływają nam wieczory kwarantanny, wieczory pogodne, ciepłe, urocze, jakie o tej porze tylko na Wschodzie bywają: nad nami namiot z gwiazd i błękitu, w dali na widnokręgu migocą wzgórza i światełka portu, bliżej zaś nieco na falach morza srebrzy się w promieniach księżyca pałacyk austryackiej cesarzowej Elżbiety, istna perełka przepychu i stylu, ujęta w ramy czarującego krajobrazu.

Za dni kilka kończy się nasza niewola, przybędzie znów lekarz kwarantanny, policzy nasze głowy, poczem dumni z przebytych dni próby staniemy w przystani Korfu.

Anna Neumannowa.

*) Lud w Dalmacyi mówi, jak wiadomo, wiele po włosku zepsutym nieco narzeczem.

KRONIKA.

Lwów 2 grudnia.

† Alfons Czaykowski. Z grona reprezentantów naszego kraju ubył jeden z najsympatyczniejszych i najzdolniejszych, Alfons Czaykowski, który zmarł onegdaj w dziedzicznej swej wiosce Dusanowie. W chwili śmierci liczył on zaledwie 46 lat, urodził się bowiem w r. 1846. Studya prawnicze ukończył na uniwersytecie lwowskim i już tu zdolności i przymioty przyszłego męża stanu wysunęły go na czoło młodzieży, która w roku 1870 powierzyła mu godność prezesa „Czytelni akademickiej“.

Po ukończeniu studyów, osiadłszy na roli, prędko postępował w godnościach obywatelskich, wszedł do Rady powiatowej przemyślańskiej, został jej prezesem, a w r. 1876, mając niespełna lat 30, wybranym został do Sejmu z większej własności okręgu brzeżańskiego. W Sejmie należał do tak zwanych „Ateńczyków,“ a później był jednym z prezesów „Centrum“. Specyalnością jego były tu sprawy ekonomiczne i administracyjne, między innemi on jest jednym z głównych autorów ostatniej ustawy drogowej. Od r. 1878, po śmierci Ludwika Skrzyńskiego, wszedł także do Rady państwa, gdzie przez lat kilkanaście wybitne zajmował stanowisko. W ostatnich czasach, znużony chorobą, odsunął się od świata i ludzi, aż śmierć wreszcie przecięła przedwcześnie to życie.

Pogrzeb ś. p. Czaykowskiego odbędzie się w Dusanowie jutro dnia 3 grudnia. Cześć jego pamięci!

Koło polskie, głęboko dotknięte wiadomością o śmierci ś. p. Alfonsa Czaykowskiego, zebrało się natychmiast na posiedzenie, na którem uchwalono: wysłać pismo kondolencyjne do matki i brata zmarłego, złożyć wieniec u trumny i urządzić nabożeństwo żałobne w Wiedniu, które odprawi ks. Ruczka.

Sprawy szkolne. Delegatem Rady miasta Krakowa do krajowej Rady szkolnej, wybrano na wczorajszem wieczornem posiedzeniu: profesora Stanisława hrabiego Tarnowskiego, który otrzymał 30 głosów. Drugi kandydat, prof. Ernest Bandrowski, otrzymał 11 głosów.

Lwowski Oddział Towarzystwa pedagogicznego urządza jutro w sali gimnastycznej w szkole imienia Staszica drugie zebranie towarzyskie połączone z wieczorkiem muzyczno-deklamacyjnym, ze współudziałem „Echa“, Kółka śpiewackiego nauczycielek lwowskich, oraz pp. Wątorskiej, Bojarskiego i Wysockiego. — Początek o godz. pół do 8 wieczorem.

Walne zgromadzenie lwowskiego Oddziału Towarzystwa gospodarskiego galicyjskiego odbędzie się w niedzielę dnia 11 grudnia o godzinie wpół do 4 po południu w sali obrad Komitetu Towarzystwa gospodarskiego galicyjskiego, przy ulicy Ossolińskich l. 15, I piętro

Z Czytelni Akademickiej otrzymujemy następujące pismo: Z powodu braku odpowiednich aktów w archiwum Czytelni akademickiej we Lwowie, wymieniono w skutek mylnych informacyi, w tablicy statystycznej, dołączonej do księgi pamiątkowej Czytelni, jako pierwszego przewodniczącego Towarzystwa: Albina Rayskiego, podczas gdy istotnie przewodniczącym Czytelni w roku 1867 był nie p. Rayski, lecz dr. Roman Pilat, obecnie profesor dziejów literatury polskiej na Uniwersytecie lwowskim, jak to wszyscy ówcześni członkowie Towarzystwa zgodnie zaświadczają. — Podp. *Konstanty Wojciechowski.*

„Gwiazda“ urządza przedstawienie amatorskie, które się odbędzie w niedzielę dnia 4go grudnia. Odegranym zostanie: „Twardowski na Krzemionkach“, obraz ludowy w 6 odsłonach ze śpiewami i tańcami przez Jana Nep. Kamińskiego.

Główna wygrana losów wystawy muzycznej w kwocie 75.000 złr. padła na seryę 9476 nr. 44, druga na seryę 9457 nr. 67, a trzecia na s. 5558 numer 32.

Numerus clausus w adwokaturze. Z Wiednia donoszą: W kołach parlamentarnych krąży pogłoska, iż w ministerstwie sprawiedliwości pracują nad projektem ustawy przywracającej znowu „numerus clausus“ w adwokaturze. Według ustawy tej liczba adwokatów na każdy okręg sądowy byłaby ściśle oznaczoną i adwokaci byliby mianowani.

Z Koła literacko-artystycznego. Zgodnie z tradycyą lat ubiegłych urządza Zarząd Koła i w tym roku we wtorek tj. 6 grudnia rb. w święto patrona milusińskich zabawę dla dziatwy.

Członkowie Koła za opłatą 50 cnt. wstępu od osoby, mogą się zapisywać najdalej do poniedziałku 5 bm.; dzieci zaś od lat 5 począwszy, mają w towarzystwie rodziców wstęp wolny.

Tablica pamiątkowa dla śp. Izydora Kopernickiego. Krakowskie Towarzystwo lekarskie wspólnie z Akademią Umiejętności i Wydziałem lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego postanowiło uczcić pamięć śp. dra Kopernickiego i w kościele św. Anny w Krakowie wmurować tablicę pamiątkową, ozdobioną portretem śp. zmarłego.

Tablica taka już została wmurowana, a uroczyste odsłonięcie jej i nabożeństwo żałobne za spokój duszy śp. dra Kopernickiego odbędzie się jutro w sobotę 3 bm.

Tablica jest wykonana z czarnego belgijskiego marmuru i ma wysokość 1·30 m., a szerokości 0·65 m.; zdobi ją portret śp. prof. Kopernickiego, pędzla prof. Cynka, wykonany na miedzi, w złoconem polu: uprzytomnia on w sposób nadzwyczajny sympatyczne rysy nieodżałowanego profesora. Tablica harmonizuje z architektoniczną całością kościoła św. Anny, a powaga stylu odpowiada znaczeniu zasług zmarłego profesora, jak niemniej powadze instytucyi, które tym pomnikiem uwieczniły pamięć swego nieodżałowanego członka.

Dodatki do płac nauczycieli szkół ludowych. Na podstawie wyniku przeprowadzonych dochodzeń i zgodnie z wnioskami Wydziału krajowego, przyznała Rada szkolna krajowa dodatki do płac po 50 złr. rocznie nauczycielom ludowym w następujących 32 gminach, uznanych za ogniska przemysłu górniczego: Dźwiniacz i Starunia w powiecie bohorodczańskim; Jaworzno z Niedzieliskami i Szczakowa w powiecie chrzanowskim; Lacko i Starzawa w powiecie dobromilskim; Borysław i Schodnica w powiecie drohobyckim; Glinik maryampolski, Kobylanka, Kryg, Libusza, Lipinki, Męcina wielka, Ropica ruska, Sękowa, Siary, Wojtowa w powiecie gorlickim; Łężyny i Harklowa w powiecie jasielskim; Myszyn i Rungury w powiecie kołomyjskim; Bóbrka, Wietrzno, Potok, Toroszówka i Węglówka w powiecie krośnieńskim; Leszczowate i Uhersko w powiecie liskim; Nowosielica i Dżurów w powiecie staromiejskim.

Otrzymujemy następujące pismo.

„Mając zamiar wydania powtórnie mej książki: „Geneza i rozwój nihilizmu w Rosyi“, której pierwsze wydanie w 8 miesiącach do szczętu wyczerpane zostało, upraszam najuprzejmiej tych, którzy książkę czytali, o łaskawe uwagi i sprostowania, tudzież o przysłanie mi — zwrócę je z podzięką — dokumentów i publikacyi odnoszących się do nihilizmu w Rosyi. *Ks. St. Załęski*, Kraków, pl. Maryacki 7.“

Pomnik Mickiewicza w Rzeszowie. Donoszą nam ztamtąd pod datą 29 listopada. W sobotę 26 odsłonięto u nas pomnik Adama Mickiewicza przy przy udziale kilku tysięcy miejscowej publiczności, obywatelstwa okolicznego i deputacyi gmin wiejskich. Pomnik przedstawia się bardzo ładnie, wyciosany jest z kamienia ciosowego i ozdobiony z frontowej strony tablicą z czerwonego marmuru, na której widnieje ustęp z trzeciej części „Dziadów“: „Ja kocham cały naród, chcę go dźwignąć, uszczęśliwić, chcę nim cały świat zadziwić“. Piękniejszego cytatu chyba nie było można wybrać. Nad tablicą umieszczono bronzowemi literami „Adam Mickiewicz“, co razem nadzwyczaj efektownie wygląda. Na pomnik wybrano najpiękniejsze w Rzeszowie miejsce. W lecie, kiedy drzewa, które stanowią tło pomnika, okryją się liściem, widok będzie jeszcze ładniejszy. Chodzi tylko o to, ażeby gmina zechciała utrzymywać porządek w tem miejscu. Tak więc Rzeszów jest drugiem w Galicyi miastem, które zdobyło się na pomnik Mickiewicza (pierwszym był Przemyśl), podczas gdy w Krakowie nie jest jeszcze skończony. Podobno kiełkuje u nas myśl wzniesienia drugiego pomnika, a mianowicie Kościuszce, który ze względu na zbliżającą się setną rocznicę powstania Kościuszkowskiego, można nazwać bardzo szczęśliwą.

Pożar tartaku. Z Czerniowiec donoszą, iż dnia 28 z. m. spłonął w Wikowie górnym tartak parowy bar. Poppera. Szkoda wynosi przeszło 60.000 zł. Zapasy drzewa ocalono.

Szpieg. W Paryżu aresztowano za szpiegostwo niejakiego Łuskinę.

Ze Stryja donoszą, iż tameczna Rada miejska uchwaliła jednogłośnie w uznaniu zasług bar. Zygmunta Romaszkana około odbudowania i rozwoju miasta nadać placowi położonemu między budynkiem gimnazyalnym a hotelem pod 3 koronami nazwę placu „Zygmunta bar. Romaszkana“. Nadto wystosowała Rada pismo do bar. Romaszkana, w którem zawiadamia go o powzięciu powyższej uchwały i składa mu podziękowanie za jego energiczną pracę i starania około odbudowania miasta.

Z Gródka donoszą nam: Nasze Towarzystwo pedagogiczne urządza dnia 4 bm. w sali kasynowej „poranek Mickiewiczowski“ ze współudziałem artystki lwowskiej sceny p. Dzirytówny, kompozytora p. Wilhelma Czerwińskiego i chóru śpiewackiego „Echo“. Program poranku bardzo piękny i urozmaicony obejmuje produkcye muzyczne i wokalne, deklamacye i obrazy z żywych osób.

„Echo“ urządza we czwartek 8 bm. w sali Sokoła wieczornicę z nader urozmaiconym programem. Czysty dochód z tej produkcyi przeznacza Echo na zakupno muzykaliów, a mianowicie śpiewników polskich wydanych w Warszawie.

Szczegółowy program podamy później. Na razie wyrażamy nadzieję, że publiczność tłumnie pospieszy na produkcye tak sympatycznego Towarzystwa.

Dnia 8 bm. kończy Echo szósty rok swego pracowitego żywota i pełnej poświęcenia pracy obywatelskiej, tem trudniejszej, że nie mając żadnej subwencyi, wszelkie swe potrzeby Echo z wkładek członków musi zaspokajać. Sympatya, jaką się cieszy Echo w naszem mieście, tudzież fakt, że będzie to *pierwsza produkcya, jaką Echo od czasu swego istnienia na własny dochód urządza,* każą nam przypuszczać, że nasze dzielne Echo uzyska pokaźny fundusz na tak potrzebne dla swego rozwoju muzykalia.

Cholera. Z Husiatyna donoszą 1 bm.: W Olchowczyku zmarła w ciągu ostatniej doby jedna osoba na cholerę. Nikt więcej nie zachorował. W Szydłowcach zachorowały dwie osoby wśród objawów cholerycznych. Nikt jednak nie umarł. W Bodnarówce nie zaszła żadna zmiana.

Wiec polski w Berlinie, który odbył się w niedzielę dnia 27 zm. powiódł się pod każdym względem wybornie. Wzięło w nim udział przeszło 1500 osób, między któremi było wiele ze sfer inteligencyi. Stosownie do programu wiecu przemawiało tylko dwóch mówców, mianowicie pp.: Englich i Łaszczyński. Pierwszy mówił o ważności i znaczeniu języka ojczystego w ogóle i przy wychowaniu młodzieży, drugi dał pogląd na naród i język polski pod względem statystycznym. Następnie przewodniczący wiecu p. Franciszek Głowacki odczytał sprawozdanie z czynności przedsięwziętych dotychczas na rzecz prywatnej nauki języka polskiego w Berlinie. W ciągu niespełna roku zebrano i wydano w tej sprawie około 650 marek, złożonych głównie ofiarnością tutejszych towarzystw. Ta drobna suma jest zupełnie niewystarczającą i dlatego też zwrócił się przewodniczący do zebranych z wezwaniem, aby ze względu na to, że te szkółki, jakie w Berlinie istnieją wszystkich dzieci polskich objąć nie mogą, rodzice sami o swych dzieciach pamiętali i wieczorami w domu uczyli je czytać po polsku. Przewodniczący zachęcał nadto do wytrwałości, tudzież do rozciągnięcia opieki, o ile się da, nad prostym ludem polskim, który nieustannie do Berlina napływa i niestety często zepsuciu między obcymi ulega, zatracając grunt tak moralny jak religijny.

Izba handlowo-przemysłowa w Czerniowcach uchwaliła wystósować petycyę do Ministerstwa handlu o utworzenie dyrekcyi ruchu kolei państwowych w Czerniowcach.

Fałszerz pieniędzy Od kilku tygodni już kursowały po Lwowie fałszywe banknoty jednoreńskowe, dość niezręcznie podrabiane. Policya rozwinęła energiczne śledztwo, ale mimo najskrzętniejszych poszukiwań nie zdołała wykryć zbrodniarza. Zadanie to ułatwił jej przypadek. We wtorek wieczorem jakaś porządnie ubrana dama kupowała na Krakowskiem pomarańcze. Wybrawszy kilka sztuk zapłaciła za nie papierowym guldenem. Przekupka przyjrzawszy się mu poznała, iż jest podrobiony i narobiła hałasu. Na krzyk jej nadbiegli żydzi i odprowadzili ową panią na inspekcyę policyi. Tam podała ona, że się nazywa Anna Nemetzowa, że jest wdową po wachmistrzu żandarmeryi i mieszka przy ulicy Łyczakowskiej l. 58. Zkąd dostała ów fałszywy banknot powiedzieć nie chciała, dopiero gdy podczas rewizyi znaleziono przy niej jeszcze trzy fałszywe guldeny, wówczas przyznała się, że otrzymała je od swego lokatora Jana Stanisława Jankiewicza.

Koncypista policyi p. Łysakowski udał się więc natychmiast do jej mieszkania i zastał fałszerza przy robocie. Dokonano natychmiast rewizyi w jego mieszkaniu i znaleziono 14 fałszywych guldenów zupełnie już wykończonych, kilka w robocie, a nadto dwie lupy, kilka kamieni litograficznych i wszelkie inne przybory do fałszowania potrzebne. Aresztowano go natychmiast i odstawiono na policyę. Tu zeznał on, iż zwie się Jankiewicz, ma lat 22, jest rel. gr. kat. i pochodzi z Okna. W roku 1886 ukończył w Stanisławowie 6 klasę realną, poczem porzuciwszy szkołę utrzymywał się z dyurnum, a w ostatnich czasach był dyetaryuszem w Wydziale krajowym. Przed miesiącem stracił posadę, a nie mając środków do życia i zapłacić czem Nemetzowej za mieszkanie wpadł na myśl fałszowania pieniędzy, tem bardziej, że Nemetzowa znajdując się również w nader opłakanem położeniu finansowem zgodziła się na puszczanie falsyfikatów w obieg. Wychodziła zwykle wieczorem do miasta i kupowała rozmaite wiktuały, za które płaciła fałszywemi pieniądzmi. O zmroku nader trudno było odróżnić je

---

wie mej jakby się paliło, w napiętej uwadze cały zmieniłem się w słuch, chwytając każde słowo starego uczonego.

— Czemuż nie zrobisz tego doświadczenia na sobie samym — zapytałem go z drżeniem.

— Głupstwo — przerwał mi gniewnie — jakże mogę na samym sobie urządzić pierwszą a hazardowną próbę, która pochłonąć musi całą mą uwagę i wszystkie siły ducha i ciała.

— W takim razie — zawołałem z pośpiechem, zrywając się z krzesła — zrób doświadczenie ze mną, ja nie chcę umierać.

Z ust jego wyrwał się okrzyk radości. — Więc ty chciałbyś? — zapytał prawie bez oddechu.

— Chcę — odpowiedziałem już zimno. — Jestem zdrów i krzepkiej budowy ciała, w życiu mojem nie doznałem trosk, ni kłopotów, a więc żyję chętnie. Jeżeli tylko pewnym jesteś siebie, rób co ci się żywnie podoba; ja nie chcę i nie powinienem umierać.

— A więc chodź — zawołał z wyrazem niewypowiedzianej radości w oczach. — Piję ten kielich na pomyślność naszych zamiarów i jestem pewny, że ten 20 dzień sierpnia, w którym obchodziłeś 85 rocznicę urodzin, przysporzy ci wiek, wiek dziesiątek lat i będzie niejako kołyską nowego dla ciebie życia. Odrodzisz się jak feniks, zrzucisz tę pomarszczoną skórę starca, Ganimedem cię odtworzę. A więc do dzieła! naprzód, śmiało! — Rzucił tu pod nogi kielich, który z brzękiem rozprysnął się na drobne kawałki i boso, jak siedzieliśmy przy stole, zawlókł mnie do siebie. Skorośmy przyszli do jego domu, Juan Manuel zapalił lampę, zrzucił z siebie kapelusz i surdut, otworzył wielką szafę i wyjął z niej swój aparat, składający się z drutów, miechów, pomp i bandażów. Potem podwinął jeszcze wyżej rękawy swej koszuli, wysunął łóżko z nyży na środek pokoju, obok niego ustawił wielki, miedziany kocioł i przemówił do mnie po cichu:

— Teraz kładź się jak długi na łóżko i ani mi nie drgnij.

Wyjąłem fajkę z ust i usłuchałem rozkazu. Juan Manuel chwycił mnie za puls i ostrym lancetem zrobił głębokie cięcie w żyłę. Usłyszałem plusk upływającej do kotła krwi i widziałem, że Don Juan krząta się około swego aparatu.

Upłynął dobry kwadrans czasu nim uczułem osłabienie z upływu krwi. Rozdrażnienie wywołane silnem winem znikło bez śladu, a z niem także i me entuzyastyczne porywy do życia. A jednak i w tem strasznem omdleniu nie mogłem się pozbyć dziwnej, piekącej ciekawości, co też ze mną Don Juan zrobi. Obawy nie odczuwałem zgoła, gdyż, jak się rzekło, ufałem mu zupełnie i wierzyłem weń jak w nieomylną wyrocznię. On zaś zbliżył się do łóżka i położywszy palce na mem ręku, badał uderzenia pulsu. — Jeszcze — mówił sam do siebie, jeszcze więcej.

Jak długo to wszystko trwało, nie wiem, lecz mi się zdawało, że wieki mijają. Czułem już wielki brak sił, nie mogłem już się poruszyć, a choć dręczyło mnie piekielne pragnienie, jednak mimo usiłowań nie zdołałem zdobyć się na tyle sił, żeby choć jedno słowo powiedzieć. Leżałem nieruchomo jak trup bez życia, słuchając monotonnego plusku coraz słabiej sączącej się krwi, bo dodać należy, że me zmysły a zwłaszcza słuch i wzrok nabrały jakiegoś zaostrzenia i egzaltacyi.

— Dość! — powiedział w końcu Don Juan przykładając na ranę jakiś plaster dla zatamowania krwi. Chwilę patrzył na mnie milcząco, potem zanurzył w wodzie małą gąbkę, otworzył usta i wepchnął ją mi głęboko w gardło, pomagając sobie przytem łyżeczką. Następnie zatkał me otwory nosowe mokrem suknem, co niezmiernie utrudniło mi oddechanie. Stan mój był nie do opisania.

Miałem uczucie, jakbym był zupełnie bezcielesnym, tylko w głowie czułem ciepło i życie. Wkrótce potem zdawało się mi, że jakiś straszny ciężar spadł mi na piersi, żebra wyginały się, jakby za chwilę miały popękać, brak oddechu trapił mnie nieznośnie.

Uderzenia serca były tak gwałtowne, że je sam dobitnie słyszałem, w głowie czułem szum jakiś i zamęt.

Juan Manuel stanął znów przedemną, badawczo przypatrywał się wyrazowi mych oczu i przemówił łagodnie:

— Słyszysz mnie i rozumiesz! Cierpisz, ale tylko kilka sekund cierpieć będziesz. Jesteś bliskim śmierci, ale nie umrzesz. Przebyłeś co najcięższe, a teraz na mnie kolej zabierać się do najtrudniejszej części operacyi. Potrzebuję do tego siły i spokoju, a więc muszę się wzmocnić.

Nalał sobie pełną szklankę wina, wypił ją duszkiem i wyszedł z pokoju.

Wracając niósł na swem ręku małe uroczej piękności chłopię w wieku lat mniej więcej cztech. Był to jego wnuczek; maleństwo, nie mające pojęcia co się dzieje, spało w najlepsze, zwiesiwszy swą kędzierzawą główkę z ramion dziadunia. Don Juan położył wnuczka obok mnie na łóżku i z powagą zakreślił nad jego głową znak krzyża.

— Ukradłem chłopca — powiedział — i nikt nie wie, na co je właściwie chowałem. Lecz nie myśl, żeby mu się miało dziać coś złego. W przeciągu ośmiu dni sama natura nagrodzi mu ubytek krwi.

Transfuzya krwi tak jak ją znano dotychczas była niezupełną i nie mogła obiecywać wielkich rezultatów, gdyż powietrze miało przystęp do krwi. Tylko ja potrafię przelać krew gorącą, czystą, pełną sił i życia wprost z tętnic dziecięcia do twego serca. Twa krew zepsuta przez grzechy i namiętności 85-letniego życia rozkłada się ot tu w kotle, a w żyły twe wpłynie obfitą strugą krew dziecięcia zdrowa, świeża i czysta. Wiem, że lekarze śmieją się z transfuzyi krwi, ale śmiać się im wolno, byleś ty przeżywszy jeszcze jeden wiek z nich się mógł zaśmiać.

Mówiąc to, zdjął ze stołu ów zagadkowy aparat i naokół mej szyi nawinął bandaże. Tak samo zrobił i z dzieckiem leżącem obok mnie na łóżku. Potem dobył z tygla nieco ciemnej maści, nacierając nią szyję moją i czteroletniego dziecka, a najsilniej w miejscach około krtani.

Miejsca te połączył za pomocą jakiejś rury, mającej na obu końcach coś w rodzaju płaskiego ostrza.

Nagle szarpnął drutem przechodzącym przez środek tej cewki, a ja w tej chwili uczułem tak gwałtowny ból w szyi, że aż zamroczyło się mi w oczach. Dziecię leżące obok rzuciło się gwałtownie i wydało lekki okrzyk boleści. Więcej nie wiem nic, bo omdlałem zupełnie i w omdleniu miałem wrażenie, jakbym się pogrążał w otchłań czarną, rozpływał się w nicość i mgłę.

Lecz kiedym przyszedł do przytomności, ujrzałem już Don Juana zacierającego z radości ręce i wołającego jakby w upojeniu:

— Bije mu serce! bije! A więc nie na darmo pracowałem lat dwadzieścia, zwycięstwo przy mnie; powietrze nie dochodzi, a więc pokonałem przesądy medycyny, lękającej się jak ognia śmiałych wynalazków.

(Dokończenie nastąpi).

od pieniędzy prawdziwych. Nemetzowa twierdzi, iż w ten sposób wydała kilkadziesiąt guldenów. Jankiewicz zaś utrzymuje, że sfałszował najwięcej 20 sztuk. Co do sposobu podrabiania nie chciał udzielić żadnych wyjaśnień. Policya ukończyła już swe przedwstępnie dochodzenia i dziś Nemetzową i Jankiewicza oddano już w ręce sądu karnego.

Mimo fałszowania pieniędzy Jankiewicz był w wielkiej biedzie. Gdy go aresztowano nie miał w co ubrać się, aby pójść na policyę. Dopiero musiano pożyczyć chustki i otuliwszy nią jego, zawieziono go na policyę. Charakterystycznem jest to, iż Jankiewicz zapytywany o powód, który go skłonił do fałszowania pieniędzy odpowiedział, „iż dążył do szlachetnego celu, a więc nie przebierał w środkach". Z dochodzeń jednak okazuje się, że do czynu tego skłoniła go nędza.

Falsyfikaty robione przez niego nie są udatne. Wyglądają jakby były długo używane i są zamazane.

Śmiertelny pojedynek. Z Lipska donoszą, że dnia 27 z. m. odbył się w pobliskim lasku pod miastem pojedynek na pistolety między dwoma młodymi medykami. Przyczyną była zwada, jaka się między oboma wywiązała w jednej z lipskich kawiarni o kelnerkę, tam usługującą. Warunki pojedynku były bardzo ostre, między innymi odległość oznaczono na 10 kroków. Jeden z zapaśników dr. Fryderyk Przyrembel z Byczyny na Górnym Szlązku (a więc Polak) padł zaraz przy pierwszej wymianie kul, gdyż kula przeszyła mu lewą lędźwię i uszkodziła słabą część ciała. Ugodzony, w kilka minut wyzionął ducha. Przeciwnik, medyk Balack zgłosił się natychmiast sam do prokuratoryi. Podobnoś obaj pojedynkujący się przebywali podczas cholery w Hamburgu i wiele dobrego zdziałali.

Z Przemyśla piszą nam: Jak w innych miastach, tak i u nas obchodzono uroczyście i w należytem skupieniu rocznicę listopadowego powstania. Młodzież rękodzielnicza urządza w sobotę nabożeństwo żałobne za poległych w roku 1831, a wieczorki ze stosownym programem odbyły się już w „Gwieździe", w „Czytelni naukowej", w żeńskiem seminaryum nauczycielskiem i w Kasynie mieszczańskiem.

Bardzo przykry i niesmaczny dyssonans stanowiło robotnicze, socyalistyczne Towarz. „Siła", które w ten dzień urządziło wieczorek z tańcami. Panowie z „Siły", mający daleko idące pretensye do przekształcenia społeczeństwa postępkiem tym, obrażającym naród cały udowodnili, jak mało mają wyrobienia moralnego i zdrowego rozsądku.

Z pod Borszczowa nam donoszą 29 z. m.: Od soboty przeszłego tygodnia odbywa się w Bilczy misya duchowna OO. Bazylianów, którą kieruje ks. Łomnicki. Pomimo siarczystego mrozu lud garnie się na misyę tłumnie, nawet z sąsiednich wiosek, i słucha Słowa Bożego pięć godzin dziennie z całą uwagą. Ale też przyznać trzeba, że Ojcowie misyonarze głoszą swe kazania pod każdym względem znakomicie. Tak wielce budująca treść, jak piękny układ, nie mniej zaś i czysto narodowy język nie pozostawiają nic do życzenia. Okoliczni księża gorliwy biorą w misyi udział. Dziś t. j. we wtorek rozpoczęto św. spowiedź, przy udziale 8 księży spowiedników, nie wliczając w to ks. Misyonarzy. Prawdziwe uznanie, a od ludu naszego podziękowanie należy się ks. Leonowi Sapieże i księżnej, jak i miejscowemu księdzu proboszczowi, za urządzenie tej misyi. Misya z Bilczy udaje się w piątek do Borszczowa.

Ks. E. H.

Z Gorlic piszą nam: Za staraniem kierownika szkoły przemysłowej pana Karola Skwarczewskiego, odbył się dnia 27-go listopada b. r. w naszem mieście uroczysty wieczór z nader urozmaiconym programem, ku uczczeniu pamięci nieśmiertelnego wieszcza Adama Mickiewicza.

Licznie zebrana publiczność miejscowa i obywatele z okolicy, złożyli dowód, że pamięć i cześć dla wieszcza nie jest im obojętną.

Amatorkom i amatorom, nie szczędzono też dobrze zasłużonych oklasków za umiejętnie wykonane utwory. Słowo wstępne i odczyt, który wygłosił p. Karol Skwarczewski, ogólnie się podobały, bo temat był zajmujący, a treść obfita.

Również i reszta programu, na którą złożył się spiew solo i chóry, gra na cytrze, deklamacye, i t. p. obudziły powszechne zainteresowanie.

Ogółem wrażenie wieczorku było podniosłe, nastrój poważny, a słuchacze opuścili lokal szkoły przemysłowej z wdzięcznością dla inicyatora tego wieczorku, który nie szczędził trudów, aby publiczność jak najmilsze odniosła wrażenie.

Dochód wynoszący przeszło 200 złr. przeznaczono na sprawienie odzieży uczniom szkoły przemysłowej.

Jak długo żyją przecinki choleryczne? Pewien doktor niemiecki, niejaki Uffelman, badał zachowanie się bakcylusów cholerycznych w wodzie, w mleku, na chlebie, maśle, pieczonem mięsie, wędzonych rybach, na owocach i jarzynie, na papierze, korespondentkach pocztowych, na pieniądzach, na muchach i na swoich własnych rękach.

Rezultat jego badań jest taki:

W wodzie żyją bakcylusy dzień, dwa, a nawet pięć i sześć dni. Jeżeli temperatura osiąga 19 do 21 stopni, wtedy w ciągu pierwszych 15 lub 16 godzin bakcylusy mnożą się. Dodać trzeba, że Uffelman urządzał swój eksperyment w wodzie z zatoki Rostok, w Niemczech północnych.

W mleku od krowy mogą się bakcyle utrzymać przy życiu przez jeden albo dwa dni i to nawet wtedy, gdy mleko zaczyna się robić kwaśnem. Podobnie jak we wodzie także w mleku mnożą się bakcylusy przez pierwszych 12 do 16 godzin, jeżeli temperatura wynosi około 20 stopni.

Na kromce świeżego żytniego chleba, jeżeli nie jest w nic zawinięta, żyją bakcyle choleryczne najmniej jeden dzień, jeżeli kromka jest zawinięta w papier, w takim razie żyją bakcyle do trzech dni, jeżeli zaś włożymy ją pod klosz szklany, to tam one wytrzymują nawet tydzień.

Na powierzchni starego masła utrzymują się bakcylusy 4 do 6 dni przy życiu, wewnątrz masła prawdopodobnie tylko dzień albo dwa.

Na pieczonem mięsie, jeżeli to mięso zabezpieczone jest szklanym kloszem przed wyschnięciem, egzystencya ich trwa 8 dni, zaś na wędzonych śledziach przykrytych kloszem żyją około 4 dni.

Na owocach żyją 24 do 30 godzin po przyschnięciu, pod kloszem cztery dni; na świeżych kalafiorach stosownie do okoliczności dzień, dwa albo trzy.

Na zadrukowanym papierze zamkniętej książki trzymają się przy życiu najmniej siedmnaście godzin, na papierze listowym, włożonym do koperty 23 i pół godziny, na kartach pocztowych 20 godzin po przyschnięciu.

Na miedzianych i srebrnych monetach, oraz na płytach mosiężnych w przeciągu 10 lub 30 minut po przyschnięciu giną już bakcylusy.

Na surowych materyach wełnianych i płóciennych żyją rozmaicie, przeciętnie jednak od jednego dnia do czterech. Na materyach wilgotnych żyją znacznie dłużej, bo aż do 12 dni, a nawet i dłużej. Co więcej, na wilgotnych płótnach mnożą się nawet.

Nareszcie na ręce ludzkiej, gdy jest sucha, bakcyl jest w stanie żyć tylko godzinę.

Pokazuje się tedy, że przecinki choleryczne są odporniej usposobione i dłużej zachowują swą egzystencyę, niż myślano.

Stan powietrza. Termometr -1 Reaum. Barometr 758. Spada. Rano było pogodnie, po południu padał śnieg.

Zmarli. Adam hr. Łoś, umarł w willi Dębniki za Wisłą pod Krakowem. Śp. Adam Łoś pisywał nowele i rozprawy, a jego syn Wincenty i córka baronowa Hagen (Alces), zajmują wybitne stanowiska w naszej literaturze beletrystycznej. — Helena z Bzowskich Młodecka, córka Bronisława i Leonii ze Stadnickich Bzowskich, żona właściciela dóbr Wilczkowice, w Królestwie, umarła w Droginі. — W Irkucku, wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie Mikołaj Witkowski z Witebska, na Litwie. Syn biednego organisty, pracą długoletnią zdobył wykształcenie, a będąc kustoszem po śp. Czerskim w Muzeum geograficznem w Irkucku, był nieraz wysyłany dla poszukiwań archeologicznych i relacye z tych wycieczek drukował w oddzielnych publikacyach, które zwróciły uwagę archeologów.

Dziwni mężczyźni.

— Ci mężczyźni dziwni są doprawdy! Ile razy mój mąż wyjedzie, to w każdym liście przysyła mi tysiące pocałunków, a jak jest w domu, to nawet jednym całusem mnie nie obdarzy...

Teatr. Dziś w piątek (dnia 2go grudnia) w teatrze hr. Skarbka o godzinie 7mej wieczorem: „Nasze anioły", komedya w 3 aktach Michała Wołowskiego. — Jutro w sobotę (dnia 3go grudnia): po raz czwarty „Gorąca krew", wodewil w 3 aktach, a 7-miu odsłonach L. Krenna i K. Lindau'a, z muzyką Hugona Schenka.

Literatura i Sztuka.

* **Opera**. Wczoraj rozpoczęto „Halką" sezon operowy, który wnosząc po początku zapowiada się bardzo dobrze. Nadewszystko cieszym się siłą taką jak p. Myszuga; w nim nareszcie zyskał Lwów śpiewaka, który posiada warunki po temu, by nam dać jasne wyobrażenie, co tenorzysta obdarzony talentem, inteligencyą muzyczną i smakiem w operze zdziałać może. Zaraz od pierwszej chwili nawiązuje on z publicznością ścisły węzeł duchowy, gra na jej uczuciach, zapala i porywa ją.

Obok niego stanąć może godnie nasz dawny znajomy p. Jeromin, lżejszy w głosie niżli w ruchach, trochę za wygodny, ale sympatyczny, a w wykonaniu sumienny artysta.

Pani Kasprowiczowa wśród tej dobranej pary znalazła się bardzo dobrze na swem stanowisku. Śpiewała jak zawsze doskonale, grała z przejęciem się i potrzebnym temperamentem, nic też dziwnego, że zbierała huczne oklaski.

Wczorajsze przedstawienie może być miarą przedstawienia „Halki" podczas wystawy muzyczno-teatralnej w Wiedniu i może wykazać, że wypadło ono przyzwoicie. Chóry śpiewały bardzo dobrze, a co rzecz u nas niebywała, brały udział w akcyi; reżyserya odznaczała się starannością, słowem przedstawienie posiadało już pewne cechy europejskości. Że opera nie zrobiła w Wiedniu wrażenia, to raczej wina przestarzałej, jak mówią, muzyki i braku w niej nowszych efektów scenicznych i orkiestralnych. Libretto słabe, bez akcyi, o czem już nieraz na tem miejscu wspominaliśmy, nie zdołało również ani intrygą, ani sytuacyą zająć.

M. Sołtys.

* **Muza**, kalendarz na rok 1892, wydany staraniem Tow. wzajemnej pomocy artystów sceny skarbkowskiej.

P. L. G. Dziubiński we wstępnym wierszu w tym kalendarzu, zastanawiając się jak to w naszych czasach muzy podupadły, kończy następującą zwrotką:

Za pięćdziesiąt może nabyć centów
Z muz dziesiątą pan czy to arendarz,
Rok wysłuży mu — bez sentymentu,
Bo dziesiątą muzą ten kalendarz.

I ma słuszność, zalecając ten kalendarz, bo gdy dziewiątka greckich muz coraz bardziej więdnie, „ta dziesiąta" rozwija się, pięknieje, wchodzi w granice panowania wszystkich swych dziewięciu sióstr i z powodzeniem ratuje ich chwałę.

Nie będziemy mówili o wybornej części informacyjnej tego kalendarza, zaznaczamy że część literacka, starannie opracowana, może poszczycić się firmami autorskiemi, które zamieściły tu swe dotąd nigdzie niedrukowane (rzecz nadzwyczaj rzadka w kalendarzach) utwory. Mamy więc humoreskę G. Blizińskiego „Romans za kulisami", Z. Sarneckiego „Dolcio", czwarty akt z dramatu Br. Komorowskiego „Cromwell", wiersz Jana Kasprowicza „Szum drzew" i wielu innych. — Nadto mamy w tym kalendarzu cztery życiorysy z portretami: Blizińskiego, panny Marcello, Mascagniego i Loli Beth.

W dziale ilustracyjnym mamy dwie wyborne reprodukcye: A. Grottgera „Modlitwa przed bitwą" i P. Stachiewicza „Błogosławieństwo przed bitwą."

* **„Mały Światek"**, ilustrowane pisemko dla dzieci wychodzące we Lwowie, zawiera w numerze z 1-go grudnia rozmaite interesujące artykuliki. Św. Mikołaj zbliżający się z podarkami dla dziatwy, dał temat p. Jadwidze Z. do napisania prześlicznego wierszyka. Po nim idzie dalszy ciąg powieści „Na Jasnej Górze" i zajmującego szkicu historycznego „O odkryciu Ameryki", wreszcie dokończenie przedziwnej „Historyi sznura pereł". W osobnym artykuliku odzywa się redaktorka „Do dzieci" zachęcając do składek dla biednego chłopczyka. Z drobiazgów zawiera *Mały Światek* wierszyk Zofii Grynbergowej „Szczęśliwi", Zagadki, Rozwiązania zagadek, Listy do czytelników, a w dodatku dalszy ciąg powiastki „Bez rodziny".

Rozmaitości.

Cywilizatorowie. Podróżnik afrykański Westmark zdaje się być powołanym do odkrywania nadużyć, jakich się dopuszczają przedstawiciele i krzewiciele cywilizacyi europejskiej we wnętrzu Afryki. On to w nader niepochlebnem świetle przedstawił Stanleya, a obecnie opowiedział jednemu z redaktorów pisma *Westfallischer Mercur* w Monasterze, następujące epizody z działalności innych podróżników afrykańskich, mniej głośnych, niż Stanley:

„Dnia 26 grudnia roku 1884 przybyły nasze łodzie parowe pod dowództwem porucznika belgijskiego van Gele do Bangali. Oznajmił on nam wszystkim (Gleerupowi, Hamborgowi, van den Plasewi, Coquilhat'owi), że pułkownik angielski sir Francis de Winton, który dowodził naszą wyprawą podczas nieobecności Stanley'a w Europie, dał mu polecenie, aby zaopatrzył stacye Bangala i Stanley Falls w artykuły żywności i towary i odkupił od Arabów kość słoniową, a także dwieście niewolników, którzy mają być użyci do robót w stacyach położonych nad dolnym biegiem rzeki. W tej wyprawie po niewolników towarzyszyło panu van Gele 50 dobrze uzbrojonych ludzi, trzy koty, cztery psy i dwie papugi! Nadto, znajdowała się w tym wojowniczym i nader oryginalnym orszaku część jego haremu, z Lisiki, z najpiękniejszą kobietą w całem Kongo, na czele; krótki czas przedtem straciła ona swego poprzedniego pana i małżonka, Anglika Benny, który w Bosindi odebrał sobie życie. Po tej tragicznej i niespodziewanej śmierci, Lisiki pospieszyła „poślubić" dowódzcę okrętu, na stacyi Ekwador wszakże wybuchł z powodu niej zacięty spór. Wszyscy biali, a było ich pięciu, chcieli ją mieć za żonę, i nieboraczka nie miała nawet prawa brać udziału w tych układach. Pan de van Gele rozstrzygnął oczywiście kwestyą na swoją korzyść, utrzymując, że jest najstarszym członkiem wyprawy i może tej kobiety potrzebować w wyższem Kongo jako tłómacza. Dla wynagrodzenia zaś jej małżonka dał mu swoją własną czarną żonę, któą kupił od Stanley'a za 20 funtów.

Po kilku dniach pobytu w Bangali pan van Gele wyruszył, celem spełnienia swego polecenia. W Bosoko, gdzie stanął w połowie stycznia, Mohamadi, chłopiec kupiony przez Stanley'a w roku 1883 od Arabów i darowany panu van Gele, odnalazł swoich rodziców i uciekł do nich. Nic mu to nie pomogło. Był własnością van Gelego i sprowadzono go przemocą. Teraz wszakże powstały trudności ze strony sułtana Zanzibaru, który wówczas panował jeszcze nad Afryką wschodnią do jezior. Sułtan wysłał Tippu Tipa z 3000 Arabów, by w jego imieniu objąć w posiadanie cały okręg. Nadto wydał Tippu-Tipowi surowy zakaz sprzedawania białym kości słoniowej i niewolników, tak, że pan van Gale nie zdołał wykonać rozkazów swego angielskiego pułkownika. Ów zwierzchnik, dzisiejszy jenerał sir Francis de Winton, jest obecnie jednym z najgorliwszych członków towarzystwa antiniewolniczego. Nie udało się tedy panu van Gele kupić żądanych 200 niewolników i musiał powrócić z 10 kobietami i jednym młodym niewolnikiem, którego mu dał naczelnik stacyi w Stanley-Falls, oraz z jedyną dziewczyną, jaką mu dał Tippu-Tip w zamian za broń i 300 nabojów. Wkrótce potem przybył pan van de Gele do Europy i otrzymał order.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 30 listopada.

(Z). Przebieg dzisiejszego targu w niczem nie różnił się od wczorajszego: ta sama stagnacya i wstrzemięźliwość spekulacyi przy silnej zresztą tendencyi. Niekorzystniejszą była sytuacya dzisiejsza od wczorajszej o tyle, że targ berliński, który wczoraj idąc za impulsem naszej giełdy, zachował dość przyjaźną fizyognomię, dzisiaj niepokoił się widocznie przesileniem we Francyi i arbitraż uskuteczniał na rachunek Berlina dosyć znaczne sprzedaże. Gotówki było na targu dużo i dostać ją można było poniżej urzędowej stopy banku austro-węgierskiego. Renty i papiery bankowe skutkiem stagnacyi na ich targu straciły cokolwiek na kursie, posunęły się zaś w górę papiery przemysłowe i kolejowe.

Izba giełdowa wiedeńska straci swego długoletniego prezesa p. Millera v. Aichholz, który zostanie wicegubernatorem banku austro-węgierskiego w miejsce zmarłego niedawno p. Zimmermanna.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 315·75, węgierskie 363·—, Anglobanki 150·75, Uniony 237·25, Bankvereiny 114·—, Länderbanki 225·50, Ludwiki 216·25, Czerniowieckie 245·60, Renta papierowa 97·70, srebrna 97·40, austryacka złota 115·40, papierowa 100·50, węgierska złota 113·50, papierowa 100·50, dukat 5·66, 20-frankówka 9·56—, marki 11·76—, ruble 1·17¾.

§ **Targ na nierogaciznę**. Na wtorkowy targ w Wiedniu dowieziono 950 sztuk galicyjskiej żywej nierogacizny, płacono 36—40 zł.; za towar przedni 40—42 zł. za 100 kilo żywej wagi.

Telegramy „Przeglądu"

Wiedeń 2 grudnia (pryw.) Debata nad funduszem dyspozycyjnym nie skończyła się na wczorajszem posiedzeniu, gdyż p. Bianchini przemawiał aż trzy godziny. Na dzisiejszem posiedzeniu przemawiać będą pp. Jaworski, Hohenwarth i hr. Taaffe. P. Jaworski złoży imieniem Koła Polskiego oświadczenie, iż Polacy stoją na tem samem stanowisku, które zajęli na początku obecnej sesyi, t. z. iż nie łącząc się w ścisły sojusz z żadnem stronnictwem, trzymają się polityki wolnej ręki i gotowi są pracować wspólnie z wszystkiemi umiarkowanemi stronnictwami około urzeczywistnienia programu mowy tronowej.

Z młodoczechami nie wdaje się Koło polskie w żadne rokowania i nie wejdzie z nimi w żaden związek, bo stoją temu na przeszkodzie russofilskie aspiracye tego stronnictwa, objawione podczas ostatniej sesyi delegacyi. — Kryzis obecna w żaden sposób nie może zakończyć się zwycięstwem lewicy. Gdyby udało się jej przy pomocy młodoczechów, deutschnationalów i antysemitów zebrać większość przeciw funduszowi dyspozycyjnemu, to nie odniosłaby z tego żadnej korzyści, gdyż albo hr. Taaffe rządziłby bez funduszu dyspozycyjnego, jak zresztą już przez jeden rok rządził, albo rozwiązanoby radę państwa, a nowe wybory musiałyby pozbawić lewicę kilkunastu mandatów. — Sojusznicy zaś, którzyby pomogli lewicy odrzucić fundusz dyspozycyjny, na nicby się jej nie przydali, gdyż są to najzaciętsi wrogowie lewicy i taka kooperacya z nimi skompromitowałaby ją tylko. Jeżeli zaś znajdzie się większość głosów za funduszem dyspozycyjnym przeciw głosom lewicy, to wszystko zostanie po dawnemu, ta sama większość „von Fall zu Fall", lewica zaś wystawi się na pośmiewisko, że przepuściwszy tak natarczywy szturm musi wrócić na dawną pozycyę.

Wiedeń 2 grudnia. Z powodu wygaśnięcia cholery w Niemczech zniesiono pięciodniową obserwacyę lekarską podróżnych, przybywających z Niemiec i przywrócono bezpośrednią komunikacyę wagonów na wszystkich liniach kolejowych, prowadzących do Czech, Szląska i Galicyi.

Miramare 2 grudnia. Cesarzowa Elżbieta przybyła tu wczoraj rano, a po południu udała się w dalszą drogę jachtem „Miramare" na wyspę Korfu.

Paryż 2 grudnia. Brison robił wczoraj znów zabiegi o złożenie nowego gabinetu.

Berlin 2 grudnia. Parlament niemiecki obradował wczoraj nad budżetem. Liberał Buhl wykazywał jakie korzyści ekonomiczne przyniesie dwuletnia służba wojskowa.

Kanclerz Caprivi zapowiedział, że rząd prawdopodobnie w przyszłym roku przedłoży parlamentowi projekt nowej procedury karnej wojskowej.

Liebknecht wykazywał, że dopóki istnieje dzisiejszy system kapitalistyczny, dopóty nie można nawet marzyć o zmniejszeniu ciężarów na wojsko. Mówca zalecał, aby w Niemczech zaprowadzono system milicyi i dowodził, że na wypadek wojny z Rosyą nie mają się Niemcy czego obawiać, gdyż potrzebują tylko poruszyć kwestyę odbudowania Polski, aby odnieść zwycięstwo.

Madryt 2 grudnia. Przed gmachem ministerstwa spraw wewnętrznych urządzono wczoraj demonstracyę na korzyść złożonego z urzędu burmistrza Madrytu.

Paryż 2 grudnia. Uwięziono tu pewnego Niemca podejrzanego o szpiegostwo i zabrano w jego mieszkaniu obfitą korespondencyę. — W policyi oświadczył ów człowiek, że nazywa się Lutkina.

Londyn 2 grudnia. Najwyższy trybunał odrzucił odwołanie się anarchisty François przeciw wydaniu go Francyi.

Rzym 2 grudnia. Na wczorajszem posiedzeniu senatu wniósł senator Guarneri interpelacyę w sprawie nominacyi senatorów. Na wniosek prezesa ministrów odroczono debatę nad tą interpelacyą. Prezes gabinetu Giolitti oświadczył, że przedwczorajsza uchwała senatu unieważniająca nominacyę byłego deputowanego Zuccaro senatorem, wkłada na rząd obowiązek zastanowienia się poważnie nad tą kwestyą, dotykającą jednej z najważniejszych prerogatyw korony.

Budapeszt 2 grudnia. Na cześć Weckerlego dano wczoraj w kasynie krajowym bankiet, podczas którego były prezydent sejmu węgierskiego Pechy wniósł toast na cześć króla Węgier. Prezydent kasyna Reviczky toastował na cześć Weckerlego, zaznaczając, iż jemu zawdzięcza stan średni swój rozwój. Wysoko podniósł także jego zasługi około rozbudzenia uczucia wolności na Węgrzech. Oprócz tego wznosili jeszcze toasty na cześć Weckerlego Pechy, Stefan Karolyi, Albert Apponyi i Ugron.

Paryż 2 grudnia. Twierdzą tu, iż komisya śledcza parlamentu załatwi zapewne z końcem tego tygodnia swe prace nad sprawą panamską. Dla tego też Brisson utworzy swój gabinet dopiero po dwóch lub trzech dniach.

Monachium 2 grudnia. Książę Karol, drugi syn księcia Ludwika, podczas nieobecności rodziców opuścił Monachium i dotąd nie wrócił. Zapewne udał się na wycieczkę w góry. Wkrótce spodziewają się jego powrotu.

Wiedeń 2 grudnia. Posiedzenie Izby posłów. Na ławie ministrów są wszyscy członkowie gabinetu.

Prezydent Smolka poświęca gorące słowa wspomnienia ś. p. Alfonsowi Czaykowskiemu, poczem izba przechodzi do dalszego ciągu debaty budżetowej, mianowicie do dyskusyi nad „funduszem dyspozycyjnym".

P. Jaworski oświadcza imieniem Polaków, że będą głosowali za funduszem dyspozycyjnym, gdyż chcą utrzymać dobry stosunek z rządem.

Dzisiejsze przesilenie wynikło zdaniem mówcy wskutek nieporozumienia między rządem a lewicą, powstałego rzekomo stąd, że rząd nie dotrzymał swoich zobowiązań. Jednakże o jakiejś nienawiści rządu do lewicy mowy być nie może. Do utworzenia większości potrzeba czterech głównych warunków: 1. programu, na którym większość się godziła, 2. równorzędności stronnictw tworzących większość, 3. dokładnego cyfrowego oznaczenia większości i 4. że nikomu nie może być zabronionem należenie do większości, jeżeli na program jej się zgadza. (Oklaski).

Mówca opowiada, jakie dotychczas robiono usiłowania w celu stworzenia większości, przypomina co się stało wtedy, gdy zaniechano uchwalenia adresu i kończy temi słowy: „Polacy zachowują wolną rękę, a to dla pomyślności i dobra krajów reprezentowanych w tej izbie i należeć będą stale do tej większości, która postawi sobie za zadanie wykonanie programu, wypowiedzianego w mowie tronowej. (Żywe oklaski, hr. Taaffe bije brawo i składa życzenia p. Jaworskiemu, również składa mu życzenia wielu innych posłów).

Jaworski kończy swą mowę wezwaniem do Izby, aby wszystkie stronnictwa ułatwiły pracę około ekonomicznych zadań.

Młodoczech Herold zabiera głos.

Przyjechali do Lwowa

dnia 2 grudnia 1892.

HOTEL IMPERIAL. Hr. S. Hołoniewski i L. Wiśniewski z Królestwa Polskiego. Hr. F. Potulicki z Glinian. Hr. F. Czosnowski z Ożomli. E. Pawlikowski z Siedlisk. A. Loewenbach z Jass. J. Leibowitz z Bukaresztu.

HOTEL FRANCUSKI. B. Ambroziewicz z Mościsk. J. Ulenecka z Wołostkowa. M. Langrock z Krakowa. J. Pick z Berna. M. Lewitowicz z Przyłbic. H. Werschtiala z Wiednia. H. Wachter z Landsberga. Hr. K. Dzieduszycki z Martynowa.

HOTEL CENTRALNY. A. Miłkowski z Bełza. G. Gawecki z Dzikowa. E. Puchalski z Dworca. J. Grosicki z Krakowa. S. Teweles i B. Pollak z Pragi. C. Bertelsmann z Bilefeld. K. Freund z Cieszyna. Br. J. Horoch z Rzeszowa. H. Greuzer i L. Vortreflich z Wiednia. E. Kruch ze Zbaraża. Dr. P. Goldhaber z Brodów. Ks. Fr. Sawa z Tłumacza. A. Pożniak z Nowotaniec. J. Goldberg z Grzymałowa. E. Wołodkiewicz z Bursztyna. A. Aulich z Lackiego.

Nadesłane.

†

ALFONS CZAYKOWSKI

ur. w r. 1846,

właściciel dóbr, poseł na Sejm krajowy i do Rady Państwa, b. prezes Rady powiatowej Przemyślańskiej, etc., zaopatrzony św. Sakramentami zakończył żywot doczesny po ciężkich cierpieniach dnia 30 Listopada 1892, w Dusanowie.

W smutku pogrążona rodzina zaprasza krewnych, przyjaciół i znajomych zmarłego, na obrzęd pogrzebowy, który się odbędzie w Dusanowie dnia 3 Grudnia r. b. o godzinie 12 w południe. 4540 1·1

„Concordia" F. Opuchlak i syn.

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 2 grudnia godz. 1. min. 30.

Akcye kred.	315·15	Węg. kolej półn. wschodn.	197·—
Alpiny	50·80	Wiedeńskie losy kom.	163·50
Kredyty węg.	362·50	Akcye tyton.	168·25
Anglobanki	150·25	Gal. obl. indem.	105·—
Uniony	236·—	Elbethale	227·75
Ludwiki	217·25	Länderbanki	225·—
Nordbany	279.—	Renta zł. węg.	113·40
Lombardy	90·50	Bankvereiny	114·30
Losy tureckie	45·10	Renta węg. p.	100.57
Staatsbahny	298·25	Ruble	1·17·75
Czerniowieckie	245·50		

Usposobienie spokojne.

Lwów. Z Izby handlowej 2 grudnia 1892.

1. Akcye za sztukę.

bez kuponu bieżącego	płacą		żądają	
bez dywidendy.				
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. w. a.	215	25	218	25
„ Lwow.-czer.-jass. 200 zł. w. a.	244	50	247	50
Banku hipotecz. galic. 200 zł. w. a.	338	—	—	—
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	—	—	215	—
Listy zastawne za 100 zł.				
Banku hip. galic. 5% 40 „	100	80	101	50
Banku hip. galic. 5% z 10% pr.	108	—	108	70
Banku hip. 4½% wa. lok. w 50 lat	98	20	98	90
Banku krajowego 4½% wa.	99	—	99	70
Tow. kred. galic. 4% niezkr.	95	80	96	50
„ „ „ 4% „ 41 l.	94	50	95	20
„ „ „ 4% „ 52 l.	99	90	100	60
„ „ „ 4 „ 58	94	—	94	70
3. Listy dłużne za 100 zł.				
Z. G. kr. wł. (daw. 6%) 3% w likw.	—	—	—	—
„ „ „ (daw. 6%) 2½% „	53	50	56	50
4. Obligi za 100 zł.				
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	104	80	105	5[illegible]
Galic. fund. propinacyjnego 4%	94	60	95	30
Bukow. fund. propin. 5% w. a.	101	50	102	20
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I em.	101	—	101	70
Pożyczka kraj. z r. 1873 z pr. w. a.	103	50	—	—
„ „ „ 1883 4½%	91	75	92	45
5. Losy.				
Losy miasta Krakowa	23	50	25	50
„ Stanisławowa	30	50	32	50

Ruch pociągów kolejowych

ważny od dnia 1 maja 1892 r. według zegaru lwowskiego

Przychodzą do Lwowa	p. posp.	p. posp.	p. osob.	p. osob.	p. osob.	p. mięsz.
Z Krakowa	6^{01}	2^{50}	9^{10}	6^{46}	9^{31}	
Z Muszyny-Krynicy via Tarnów			9^{01}			
Z Podwołoczysk i Brodów (na dworzec główny)		2^{57}	9^{40}	7[illegible]		
Z Podwołoczysk i Brodów na dworzec Podzamcze		2^{45}	9^{17}	6^{56}		
Z Suczawy	10[illegible]		7^{56}	1^{45}	7[illegible]	
Z Kimpolungu	10[illegible]		7^{56}			
Z Radowiec	10[illegible]		7^{56}		7^{06}	
Z Hliboki	10[illegible]				7^{06}	
Z Nowosielicy			7^{56}		7^{06}	
Z Słobody rungurskiej	10^{09}			1^{43}	7^{06}	
Z Husiatyna via Halicz	10^{09}			1^{43}		
Z N. Sącza, Chyrowa, Stanisławowa i Stryja			9^{16}	3[illegible]		
Z Suchy, N. Sącza, Chyrowa, Stanisławowa i Stryja			9^{16}			
Z Chyrowa, Stanisławowa i Stryja					1^{41}	
Z Peszt, Miskolcza, Munkacsa, Ławocznego i Stryja			9^{16}		1^{41}	
Z Sokala i Bełzca						4^{48}
Z Sokala i Rawy ruskiej						8^{32}
Odchodzą ze Lwowa:						
Do Krakowa	10^{41}	3^{07}	5[illegible]	11[illegible]	7^{55}	
Do Muszyny-Krynicy via Tarnów					7^{56}	
Do Podwołoczysk i Brodów (z dworca głównego)	2^{55}		9^{41}	10^{26}		
Do Podwołoczysk i Brodów (z Podzamcza)	3^{10}		10^{03}	10^{52}		
Do Suczawy	6^{35}		9^{55}	8^{22}	10^{56}	
Do Husiatyna via Halicz	6^{56}			8^{22}		
Do Słobody rungurskiej	6^{35}		9^{56}	8^{22}	10^{56}	
Do Nowosielicy	6^{35}		9^{16}		10^{56}	
Do Hliboki	6^{35}		9^{56}			
Do Radowiec	6^{36}		9^{56}		10^{56}	
Do Kimpolunga	6^{36}			6^{31}		
Do Stryja, Chyrowa, N. Sącza i Suchy			8^{16}	10^{21}	7^{41}	
Do Stryja i Stanisławowa				10^{21}	7^{41}	
Do Stryja, Ławocznego, Munkacsa, Miskolcza i Peszt			8^{16}		7^{41}	
Do Bełzca i Sokala						7^{51}
Do Sokala i Rawy ruskiej						9^{36}

Uwaga: Godziny podkreślone liniją oznaczają porę nocną od godz. 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano.

103)

MATKA I MĘCZENNICA

POWIEŚĆ

przez

Pawła d'Aigremont.

Tłumaczona przez Leopolda Czapińskiego

(Ciąg dalszy).

— Należy ją natychmiast położyć do łóżka — oświadczył doktór. — Hrabina, na szczęście, znajduje się pod wpływem niezmiernego utrudzenia moralnego i fizycznego, i gdyby nie ta okoliczność, to wrażenie ostatniego posiedzenia sądowego i powrotu do domu zabiłoby ją... W tej chwili nawet nie wie co się z nią dzieje. Zapiszę jej wielką dozę chloralu, a może silny jej organizm i sen uratują ją od pomieszania zmysłów lub od strasznego zapalenia mózgu.

Seconda z innemi służącemi zajęła się przygotowaniem łóżka Magdaleny, gdy tymczasem Andrzej z lokajami posadził ją na fotelu i zaniósł wraz z nim na pierwsze piętro.

Wkrótce rozwidniło się i zajaśniał dzień. Ryszard z Andrzejem ulokował się na parterze i gdy dowiedział się, że hrabina zasnęła, nie rozbierając się, położył się na sofie. Ale wzruszenie jego było tak wielkie, że nie mógł zmrużyć oczu.

O dziewiątej rano przybył Rajmund.

Wiadomość o uwolnieniu hrabiny wywarła na księdzu Sintély wrażenie wprawdzie pomyślne, ale tak silne, że doznał strasznych spazmów.

— Jakże się ma Magdalena? — zapytał Rajmund Ryszarda.

Hr de Clavières opowiedział mu wszystko co zaszło od chwili przybycia. Przywołana Seconda oświadczyła, że hrabina śpi jeszcze.

Dopiero w godzinę później Magdalena wstała, ubrała się i oświadczyła stanowczo, że pójdzie na cmentarz.

— Ależ to szaleństwo! — zawołał Rajmund.

Ryszard był niezmiernie wzburzony.

— Czy nie uważasz pan — zapytał doktora — że opieraniem się jej woli możemy stan jej pogorszyć?

Rajmund nie miał czasu odpowiedzieć, gdyż w tejże chwili Magdalena weszła do salonu. Podała rękę Rajmundowi, chciała przemówić, lecz nie zdołała. Oparła głowę na ramieniu swego kuzyna i wybuchnęła łkaniem.

— Odwagi! — rzekł Rajmund, wzruszony równie jak ona.

— Nie mam już jej — wyłkała — i nie odzyskam już jej więcej. Leonia wszystko uniosła z sobą... serce, siły, wolę... Ah! czemuż nie zabrała i mego życia!...

Ryszard nic nie odrzekł. Wolałby tortury niż słyszeć te słowa Magdaleny.

— Dziękuję — rzekła po chwili, zwracając się do Ryszarda. — Seconda opowiadała mi ile poświęcałeś się pan dla mnie.

— Czyż nie jest to rzeczą naturalną? — odrzekł Indjanin. — Czyż pani myślała kiedykolwiek, że mogło być inaczej?

— Nie wiem... nic już nie wiem... jestem tak nieszczęśliwą!...

Następnie podniosłszy głowę, rzekła:

— Idę zobaczyć ją... wszak dozwolicie mi...

— Dobrze, ale pod warunkiem, że będziemy pani towarzyszyć.

Uczyniła gest, jak gdyby chciała powiedzieć:

— Wszystko mi jedno.

Przed pałacem oczekiwał powóz. Siedli we troje i odjechali.

U bramy cmentarza Ryszard podał jej ramię.

— Niech pani oprze się mocno i nie powstrzymuje się od płaczu. Przybyłem tutaj nie dla tego, by panią pocieszać, lecz by z jej łzami łączyć łzy moje.

Poranek był tak piękny, jaki tylko może zdarzyć się podczas lata. Najmniejszy powiew wiatru nie zakłócał ciszy; zaledwie lżejsze gałęzie drzew kołysały się lekko, a pod wilgotnemi, od nieobeschniętej jeszcze rosy nocnej, liśćmi, niestrudzone koniki polne świergotały aż do utraty oddechu.

Na czystem, błękitnem niebie kilka chmurek płynęło zwolna w stronę gór.

— Niech pani patrzy — rzekł Ryszard, wskazując je młodej kobiecie. — Za kilka chwil znikną one i nic nie będzie zakłócać wspaniałej czystości tego pięknego sklepienia, jak gdyby utkanego z przeźroczystej gazy błękitnej. Tak i z życiem. Gdy sumienie jest czyste, chmury zniknąć muszą i szczęście powróci.

— Nie wymawiaj pan tego słowa szczęście — odrzekła — gdyż tutaj jestto bluźnierstwem.

On, milcząc, wskazał jej grób dziecka, na którym widniał napis:

„O śmierci, jesteś kłamstwem — gdyż czeka nas zmartwychwstanie"...

Zatrzymał się i jak gdyby chciał położyć nacisk, dotknął palcem tych słów: „jesteś kłamstwem."

Magdalena spostrzegła gest, odczytała słowa wskazane i zadrżała.

Przypomniała sobie wypowiedziane przez niego dnia poprzedniego słowa i zastanowiło ją to uporczywe wpajanie w nią nadziei.

Gdy stanęła przed tym grobem, głęboki spokój panujący wokoło i najgłębsza poezya tego pokrytego kwieciem i zielonnością zakątka ziemi, przenikęły do jej duszy i złagodziły boleść.

Po kilku minutach udała się dalej do końca alei i zatrzymała się przed wspaniałym grobowcem, w którym, jak sądziła, spoczywała jej córka.

Padła na kolana i wśród łkań jęczała:

— Moja Leonia!... moja córka!... Ah, dlaczegoż ty mię opuściłaś, dziecko okrutne!...

Obejmowała słup marmurowy powtarzając:

— Nie chcę dłużej żyć bez ciebie... ukochana, nie, nie mogę... Proś Boga by nas połączył... i gdy zabrał mi ciebie, niech i mnie powoła...

Boleśnie było patrzeć na jej rozpacz.

— Bez ciebie dla mnie już nic na świecie nie istnieje — powtarzała na pół przytomna. — Leonia, moja córka!

Ryszard oczekiwał uspokojenia pierwszego wybuchu rozpaczy, ale się zawiódł. Wzrastała w niej ona coraz więcej, jej łkania rozdzierały serce.

Nagle, duszę jej tak łagodną, ogarnęło jak gdyby uczucie buntu, podobne do tego, jakiego doznała w chwili, w której dowiedziała się o śmierci swego dziecka.

— Ah! — zawołała wśród łkań — Karol mówi, że Bóg jest dobry, a tymczasem On, poddawszy mię najstraszniejszym próbom, przez jakie przeszłam, zabiera mi jeszcze córkę moją!... Czyż to rzecz możliwa?...

Wtedy Ryszard podstąpił ku niej.

Pierwszy to raz od dnia wczorajszego myśl sformułowana jasno, padła z ust młodej kobiety. Więc może zrozumie, co ma jej powiedzieć. Serce biło mu gwałtownie. Położył rękę na ramieniu i rzekł:

— Masz słuszność, Magdaleno, to być nie może, aby Bóg, którego jesteś jednym z najpiękniejszych i najlepszych aniołów, zesłał ci na raz tak wiele cierpień. Nie, to być nie może!...

Jak gdyby poruszona prądem elektrycznym, Magdalena wyprostowała się. Zdawało się jej, że roztwiera się przed nią zasłona; zrozumiała myśl hr. de Clavières.

— Ryszardzie — zawołała wzruszona — ty coś wiesz! Na imię twej matki zaklinam cię, mów!...

Ryszard, przestraszony jej egzaltacyą, nie śmiał nic więcej powiedzieć.

— Ah, szalona jestem — jęknęła. — To są słowa tylko... On nic nie wie!...

— Nic nie wiem — odrzekł Ryszard, biorąc jej rękę — ale wierzę, przypuszczam i mam nadzieję...

— W co wierzysz?

— Że Leonia nie zmarła!

Krzyknęła jeden raz tylko, jak gdyby ją pchnięto nożem w serce, ale opamiętała się natychmiast, nadzieja bowiem opromieniła jej duszę.

— Boże wielki! — szepnęła w uniesieniu, wierząc słowom Ryszarda. — Co on mówi? — Leonia żyje... O Boże dobry, bądź błogosławiony!...

Oczy jej połyskiwały ogniem gorączkowym, niespokojnym, a radość wypiętnowała na jej twarzy bladej ten sam wyraz, jaki przed chwilą wyryła rozpacz.

Rajmund zaczął się o nią obawiać i Ryszard spostrzegł jego niepokój.

— Niech pani zapanuje nad sobą — rzekł do hrabiny tonem łagodnym, lecz więcej stanowczym.

— Pan chcesz bym panowała nad sobą?... Czyż to rzecz możliwa?... Od dnia wczorajszego byłam przekonana, że moja córka nie żyje... To znaczy, że pozostałam na świecie samotną, ze złamanem sercem, bez celu do życia. Nagle pan mi mówisz, że ona nie zmarła, że będzie mi wróconą... I chcesz bym się uspokoiła!

— Tak, w przeciwnym bowiem razie nie powiem nic czego się domyśliłem i dowiedziałem... Nic, daję pani na to moje słowo najświętsze!

Słowa te, w których czuć było postanowienie stanowcze, wywarły na nieszczęśliwej matce skutek natychmiastowy. Pragnęła dowiedzieć się się wszystkiego i jak najprędzej.

W jednej chwili dokonała nad sobą cudu.

— Mów pan, jestem panu posłuszną — odrzekła zupełnie spokojnie.

— Dobrze; niech pani idzie zemną.

— Dokąd?

— Do altany, gdzie będzie pani mogła usiąść.

Magdalena znała tę ławkę, na której zwierzyła się księdzu Karolowi z swej miłości.

(Ciąg dalszy nastąpi).

L. 38856/92.
I Dpt.

DZIERŻAWA.

Gmina król. stoł. miasta Lwowa wydzierżawia w drodze publicznej licytacyi za pomocą ofert pisemnych folwark w dobrach tabularnych BIŁOHORSZCZE w powiecie lwowskim, położony o pół mili od miasta Lwowa, składający się z około 210 morgów gruntu, mianowicie około 137 morgów roli, 70 morgów łąki, 2 morgów ogrodu, 2 morgów pastwiska, z budynkiem mieszkalnym, oficyną i zabudowaniami gospodarczemi na lat dwanaście.

Wyłączone są z dzierżawy prawo propinacyi i karczmy.

Licytacya odbędzie się dnia 29 grudnia 1892, t. j. we czwartek o godzinie 11 przed południem w biurze I Departamentu Magistratu na II piętrze.

Jako cenę wywołania ustanawia się kwotę 2050 złr. a. w. Wadyum względnie kaucyę w wysokości ofiarowanego czynszu dzierżawnego złożyć należy przed licytacyą w kasie miejskiej i dołączyć do oferty odnośne pokwitowanie kasowe.

Szczegółowe warunki licytacyi przejrzeć można w biurze I Departamentu Magistratu w godzinach urzędowania.

Magistrat król. stoł. miasta

Lwów dnia 21 listopada 1892.

4522 2—3 *Romanowski.*

Odpowiedzialny redaktor: Wacław Masłowski. — Papier braci Fijałkowskich w Białej. — Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządzca: Walenty Hodak.